Przedłużamy termin nadsyłania odpowiedzi na nasz konkurs.
Szczegóły na str. 3-ej.

Cena 7 zł.

Wieś

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok III Łódź, 14 kwietnia 1946 r. Nr 14 (42)

ZYGMUNT KAŁUŻYŃSKI

Znowu „widmo Szeli"!

(„Tygodnikowi Powszechnemu" w odpowiedzi)

Specjalny numer tygodnika „Wieś", wydany w rocznicę rabacji galicyjskiej, spotkał się z surowym potępieniem katolickiego „Tygodnika Powszechnego" (Nr. 12, 24 marca). Uprawiane przez „Wieś" gloryfikowanie Szeli, które zdaniem „Tygodnika" ma służyć szerzeniu nienawiśc, jest niedopuszczalnym zniekształceniem historii, idealizowaniem bandytyzmu i głupoty politycznej chłopa polskiego. „Tygodnik" przytacza fakty okrucieństw, których nic nie zdoła przeinaczyć: „A. Horodyński pokrajany przez tłum na kawałki, A. Dembiński, któremu odrąbano palce, aby zdjąć pierścienie, Stołwiński, przywiązany za brodę do konia i zawłóczony na śmierć, H. Broniewski, któremu wydarto oczy, zmuszając przytem jego żonę, by świeciła przy egzekucji i wielu innych. A kobiety? Bałtazińska, Ihasowa, Kępińska (w ciąży), Małecka, zaduszona 60-letnia staruszka Morska, Świderska, zmuszona do picia wódki w takich ilościach, że umarła w konwulsjach, i wiele innych". Jak „Wieś" może przemilczać — zapytuje „Tygodnik Powszechny", — że okupacyjne władze austriackie płaciły za zabitego szlachcica 10 złr., za pokaleczonego 8 złr., za zdrowego — 5 złr.? Że rabacja była celowo wywołana przez zaborcę, by nie dopuścić do polskiego powstania *demokratycznego,* że była ona reakcyjna, antynarodowa, że w skutkach umocniła pochód niemczyzny na wschód? I oto pada ze strony katolickiego pisma kulturalnego pod naszym adresem obelżywy epitet: CHWALCY GERMAŃSKIEJ KONTRREWOLUCJI.

CZY MOŻLIWA JEST DYSKUSJA O SZELI?

Czy możliwa jest na ten temat polemika „merytoryczna", pozostająca w kręgu zagadnień historycznych? Czy byłoby słusznym, gdybyśmy w odpowiedzi „Tygodnikowi Powszechnemu" wdali się w drobiazgową analizę dokumentów, gdybyśmy wychwytali każdy jaśniejszy promyk świadomości klasowej, celowości, planowości, szerszych spodziewań i zamiarów u przywódców i uczestników buntu chłopskiego; gdybyśmy wyszukali fakty świadczące o obłudzie urzędników, którzy wszak obiecywali chłopu — *swobodę i opiekę cesarza,* gdybyśmy nakreślili posępny obraz ucisku i samowoli, których ten chłop był od *panów* przez tyle wieków ofiarą? Gdybyśmy chwytali publicystę „Tygodnika" na zmyłkach i potknięciach, dowodząc mu dokumentarnie, że mimo jego zapewnień o bezstronności polskich historyków, przemilczali oni to z przeszłości klasy szlacheckiej, co świadczyło o jej okrucieństwie, a bojowników o wyzwolenie klasowe przedstawiali jako zdrajców lub złoczyńców? Że „Tygodnik", który za jeden z celów postawił sobie kompromitowanie myśli marksistowskiej, nie powinien bez narażenia się na żarty powoływać się na Marksa by nas pognębić („Marks, proszę panów —może to was przekona? — uważał nie rabację lecz powstanie krakowskie przeciw któremu rabacja była skierowana, za ruch rewolucyjny"), tymbardziej, że Marks mógł nie być zorientowany i mógł się mylić — i rzeczywiście w tym wypadku się mylił. Deklaracja bowiem umieszczona w marksowskim „Manifeście", — że komuniści w Polsce będą popierać ruch agrarnej insurekcji, musiała być oparta na fałszywej informacji bo niewątpliwie nasza rewolucja 46 r. była o tyle „agrarna", że dowodzona przez właścicieli latyfundiów — najbardziej „ziemiańskie" powstanie w Polsce!

Ale dyskusja w ten sposób prowadzona, oparta na źródłach, wychwytująca wzajemne pomyłki, usiłująca naciągnąć fakty historyczne do tego czy innego sprawdzianu moralnego byłaby — czujemy to, najzupełniej fałszywą. Problem Szeli jest bowiem jednym z problemów „parawanowych", jest pretestem, zaczepką, za którymi ukrywa się rzecz nierównie ważniejsza: *stosunek wstecznej inteligencji,* tych pogrobowców i dziedziców polskiego szlacheckiego ziemiaństwa, do *klasy chłopskiej.*

TRADYCJA PROPAGANDOWA „WIDMA SZELI".

Otóż idzie o to, że legenda Szeli ma w walce propagandowej przeciwko zorganizowanym stronnictwom chłopskim *tradycję,* ciągnącą się od mniej - więcej końca 19-go stulecia. Podobne użytkowe hasła, ustalone zawołania i slogany w rodzaju „żydo - komuna", „folksfront" „zaraza komunistyczna", stosowane do innych postępowych grup społecznych, pojawiły się w walce partyjnej dopiero w okresie pierwszej niepodległości. Ale radykalni chłopi słyszeli o „Widmie Szeli" już od 60 lat. Tym upiorem straszono z ambon już „Zaraniarzy": a w jakim stopniu nadużyto owej zjawy w okresie strajku chłopskiego, przekona się każdy kto przerzuci gazety z sierpnia 1937 r., oczywiście gazety wrogie chłopu. Strajk miał być manifestacją na rzecz postulatów Stronnictwa Ludowego, w myśl hasła: „Milionowe rzesze chłopskie zdają sobie sprawę, że nie posiadają w Polsce, mimo spełniania swych obowiązków, tych praw, któreby im się należały. Chłopi o prawo do życia i do współgospodarzenia krajem walczyć będą dlatego, że oni są odpowiedzialni tak za losy obecne, jak i przyszłe swojej ojczyzny...". Strajk miał trwać 10 dni, polegał na wstrzymaniu dowozu produktów rolnych do miast. A teraz weźmy do ręki organy prasy: *Czas:* „Karygodna lekkomyślność, brak poczucia odpowiedzialności godny ubolewania...", *Warszawski Dziennik Narodowy:* „akcja komunistyczno - anarchistyczna", *Il. Kuryer Codzienny:* „metody sabotażu i terroru w życiu politycznym wymagają najsurowszego potępienia", *Gazeta Polska:* „Stłumienie anarchistycznej akcji Stronnictwa Ludowego". *Kuryer Poranny:* „Strajk ten jest polityczną zbrodnią, dla której nie może być usprawiedliwienia, musi być stłumiony żelazną, twardą, bezwzględną ręką". *Express Poranny:* *„Świętokradztwo!"* (dosłownie!) i wreszcie *Polska Zbrojna,* organ Wojska, opanowanego wówczas przez wsteczne elementy oficerskie daje tytuł tłustym drukiem: WIDMO SZELI.

Wyglądało by z tych komentarzy dziennikarskich, że chłopi popełnili gwałty przyjęte z oburzeniem przez naród i zagrażające nową zbrodnią w rodzaju rabacji. A jak było w rzeczywistości? Oto odpowiedź premiera Składkowskiego na interpelację w sejmie: „Reakcja policji musiała być bardzo ciężka. *42 zabitych... (Słownie czterdziestu dwóch!).* Ale trzeba było strzelać. Niestety, za mało posiada się policji i wskutek tego strzelanie było nieuniknione" („Zielony Sztandar", Nr. 63). OTO BYŁY OFIARY RZEKOMEGO SZELI.

NIESZCZĘSNA TRADYCJA.

Ale co to wszystko ma wspólnego z krytyką, z jaką słusznie wystąpił „Tygodnik Powszechny"? — mógłby ktoś zapytać. Zarzucono nam, że gloryfikujemy bandytę, zniekształcamy historię i w ten sposób przez przekręcanie prawdy staramy się szerzyć niepotrzebną nienawiść. Albo więc trzeba przyjąć dyskusję i udowodnić, że Szela nie był przestępcą, albo przyznać się do pomyłki i więcej nienawiści nie szerzyć. Z tym tematem nie mają nic wspólnego wspomnienia o prześladowaniu chłopów za sanacji, czy wyliczenie pism, które w zamiarze propagandowym straszyły obłudnie postacią Szeli!

Otóż to właśnie jest jedyny wypadek, gdy dyskusji wprost przyjąć nie można. Nie tylko dla tego, że ten kto by bronił Szeli musiałby prawdopodobnie wyjść pobity. Nie dla tego doszukujemy się pod parawanem „historycznej dyskusji" — czego innego — zasadniczego, ideologicznie wrogiego stosunku do chłopa; nie dlatego przeprowadzamy porównanie między sposobem, w jaki posługiwał się strachem Szeli sanacyjny pismak, i w jakim dziś „Tygodnik" nie pozwala na gloryfikowanie jego postaci. Nie jest to ucieczka przed „merytoryczną", „źródłową" dyskusją, nie jest to podstępne „insynuowanie". Podstęp jest—ale ZE STRONY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO".

Bo w tym jedynym wypadku idzie nie o to, czym właściwie była rabacja, i nie o jej oceną moralną, a o to, KTO, W JAKIM CELU I W JAKICH INTENCJACH NA NIĄ SIĘ POWOŁUJE.

Idzie nie o prawdę historyczną, a o propagandowy cel jej użycia, konstruktywny lub niszczący: może już nie z analizy historycznych szczegółów rabacji a z nastawienia do niej, ze sposobu posłużenia się jej legendą, która jest w tym wypadku nierównie ważniejsza, prawdziwa czy nieprawdziwa, — może zdołamy dojść, kto tu jest właściwie szerzycielem nienawiści.

REWOLUCJA POSZUKUJE PRZODKÓW.

Skąd w ogóle mógł przyjść chłopskim literatom do głowy pomysł, by postaci Jakuba Szeli poświęcić specjalny numer rocznicowy, bez względu na to, czy oświetla go się dodatnio czy nie (bo w imię prawdy stwierdzić należy, że wcale nie były na kartach „Wsi" przemilczane fakty okrucieństw i przekupstwa przez okupantów, jak wmawia „Tygodnik). Jeśliby nawet „Wieś" pragnęła wywołać dyskusję dokoła tej postaci (co się też stało, patrz wypowiedzi w następnych numerach, gdzie nie brak głosów potępiających), to przecież jest faktem, że próbowaliśmy wywołać zaciekawienie kwestią rabacji, a więc widzieliśmy w niej coś pozytywnego. Dlaczego? „Tygodnik Powszechny" ma odpowiedź: była to PROWOKACJA.

Nie, to nie była prowokacja. Było to zjawisko charakterystyczne dla tworzącej się, świeżej kultury nowo - podnoszącej się klasy: *poszukiwanie przodków.* Przebiegając ciemne karty historii chłopa polskiego, marzymy by natknąć się na postać choćby taką jak ów rosyjski *Pugaczow,* który ogłosiwszy się chłopskim carem, wyruszył na Moskwę, i pobity, zginął śmiercią męczeńska, ścięty toporem; jak ów *Dżon Twardoręki,* sławny z surowego dowcipu, który obudził masy chłopskie Anglii do walki i zginął łamany kołem; jak średniowieczni przywódcy *Żakerji* francuskiej, stłumionej z niesłychanym okrucieństwem, a tak pełnej świadomości klasowej, tak płonącej żądzą „usunięcia władzy pańskiej aż do końca świata". Ale naprożno; historia ukazuje u nas jeden tylko wypadek: właśnie rabację Szeli, — i jak nieszczęśliwy, jak żałosny, jak dwuznaczny...

Jeśli chcemy być uczciwi, nie przejdziemy nad tą postacią do porządku. Nie postąpimy jak nam radzi „Tygodnik" — by powołać się na Kościuszkę. Szukamy *samorodnych* odruchów *świadomości klasowej,* nie inspirowanej, nie organizowanej przez patriotów szlacheckich, nie kierowanej przez naszych solidarystów. Nieszczęsny ojciec Szela pozostawił swym współbraciom kłopotliwą tradycję; nie umiał stworzyć legendy... Okrucieństwa bledną coprawda wobec faktu odwiecznego prześladowania i pohańbienia milionowego tłumu chłopskiego; nikt nie liczył zbrodni szlacheckich, wszyscy liczyli pomordowanych przez rabację. To historia możeby wytłumaczyła; ale zdrada narodowa? udział w tłumieniu powstania? Ta głupota polityczna, w połączeniu z brakiem jaśniejszej wypowiedzi ideologicznej, — gdyby choć świstek z przemówienia Szeli, gdyby jakikolwiek dokument świadczący o intencjach... Nie krew rozlana świadczy przeciw Szeli, a brak jednego słowa od niego pochodzącego, — to grobowe milczenie, potwierdzające

Co Papież Grzegorz XVI myślał o Szeli?

„Tygodnik Powszechny" pełen słusznego na nas oburzenia, że wspominamy bandycką, antypolską, antynarodową rabację chłopską, przytacza wiele historycznych faktów i powtarza rozmaite potępiające opinie — między nimi nawet samego Marksa; ten o Szeli coprawda milczy, ale stwierdza, że powstanie, przeciwko któremu Szela podniósł krwawą rękę, było ruchem **rewolucyjnym.** Skoro katolickie pismo powołuje się na teoretyka socjalizmu, my z kolei pozwolimy sobie przytoczyć opinię głowy Kościoła, dyskretnie przez „Tygodnik" przemilczaną. Gdy próba powstania legła w potopie krwi, gdy Szela odznaczony orderem za wymordowanie 3.000 zbuntowanej przeciw cesarzowi szlachty osiadł na Bukowinie, i gdy w kraju zapanował niewątpliwy spokój, **Papież Grzegorz XVI** skierował do biskupa tarnowskiego **list pasterski.** Czy udzielił mordercom nagany? Czy skarcił surowo austriackich organizatorów rzezi? Czy wypowiedział choć jedno słowo litości? Ach, nie! Grzegorz XVI — **potępił ofiary mordu, stwierdził więc pośrednio, że się z Szelą najzupełniej solidaryzuje:**

„Polecam duchowieństwu biskupstwa wierną służbę cesarzowi, którego władza pochodzi od Boga, i przeciw któremu przedsięwzięto niegodziwy spisek. Uknuli go ludzie, którzy idąc jedynie za swymi żądzami, wzburzani bezustannie, jak fale morskie, gardzą wszelkim panowaniem i bluźnią przeciw majestatowi tronu. Tym więcej jesteśmy zasmuceni, iż wielu duchownych było uwiedzionych złymi radami i intrygami, i że nawet kilku proboszczów ośmieliło się w sprawie tak ważnej odstąpić od swych obowiązków".

Nie mógł Grzegorz XVI bezpośrednio wypowiedzieć dodatniej swej opinii o Szeli, z tych samych powodów, dla których dziś Pius XII nie może chwalić faszyzmu: nie wypada wprost pochwalić mordercy. Niemniej sympatia namiestnika chrystusowego dla wodza rabacji jest niewątpliwa, i żałować należy, że jej „Tygodnik Powszechny" nie uwzględnił.

ZK.

najwidoczniej, że był robotem, maszyną do mordowania — że nie miał nic do powiedzenia.

Oto jest jedyna polska tradycja. Nie będą nią indywidualne bunty rzeczywistych rozbójników, Kostki - Napierskiego i Janosików, uskrzydlone przecież pieśnią i legendą ani rzezie hajdamackie obciążające niepolskiego chłopa an białoruskie ruchy w królewszczyznach w XVIII wieku. Zostaje: SAM SZELA. Gdyby choć rabacja przypadła na okres niepodległości państwa szlacheckiego! Ale nie; wszystkie możliwe zarzuty, wszystkie zbrodnie, wszystkie plamy leżą na tym jedynym, przypuszczalnym, możliwym bohaterze, — bez jednego jaśniejszego motywu usprawiedliwiającego — JAK NA IRONIĘ.

CZY CIEŃ NIEUDANEGO BOHATERA PADA NA KLASĘ CHŁOPSKĄ?

Łatwo zauważyć, że cień tego nieudanego, odrażającego, fatalnego bohatera przywoływany jest zawsze wtedy gdy chłop podejmuje samodzielny wysiłek polityczny. Tak było w okresie „Zarania", strajku chłopskiego, tak dzisiaj, gdy chłop zasiada w rządzie robotniczo-chłopskim, stać przeciwników jego samodzielności na ton wypominający i obelżywy. „Po co wam ta żądza władzy, — zdają się mówić — po co to odżegnywanie się od szlachty i inteligencji, ten „głos nienawiści"! Po co pchacie się tam, gdzieście nie powinni — przy waszym nierozumie politycznym, przy złych instynktach, przy antypolskich tradycjach! Przypomnijcie sobie waszego JEDYNEGO KLASOWEGO „BOHATERA" ...SZELĘ!

Jest w tym chwycie propagandowym chytrość i perfidia: bo cóż chłop poradzi, że nie posiada innego antenata? Szelą jest wygodnie operować; może to być, zależnie od potrzeb i sytuacji, albo komunista, albo hitlerowiec ułatwiający pochód niemczyzny, albo zwyczajny opryszek. Teraz podsuwać nam będą, zależnie od orientacji politycznej, innych bohaterów, dających tak się mniej więcej zinterpretować; po co wam ta nienormalna żądza samodzielności... trzeba żyć dobrze z klerem, ze szlachcicem, który obecnie już się wstydzi grzechów i nie jest groźny, itd., itd. Macie przykłady: Wójt Pyrz, Kościuszko, Grzegorz Wieloch, Bartek Zwycięzca i wielu innych.

GRZECHY LUDOWEJ KONTRPROPAGANDY

Trzeba jednak przyznać, że w przeniesieniu cienia Szeli na całą klasę chłopską pomagają niewcześni gloryfikatorzy, którzy chcą go bronić „na siłę", popełniając przez to niebezpieczną niezręczność. Nie uniknął tego błędu, najjaskrawiej widocznego na poemacie Jasieńskiego „Słowo o Jakubie Szeli", i autor naszego artykułu, Dyzma Gałaj, który postępował w tym wypadku za tradycją wiciową, oddawna usiłującą wybielić buntownika i nawet nadać mu tony liryczne. Jest to zjawisko bardzo zrozumiałe: chęć tworzenia mitu, w poczuciu jego wagi, wartości kulturotwórczej. Rolę mitu dostrzegają i przeciwnicy i bez trudu a złośliwie niszczą budowany z mozołem „temat Szeli".

Z tego musimy wysnuć naukę, że nie wolno nam postacią Szeli operować lekkomyślnie. Musimy wiedzieć dokładnie, w jakim celu powołujemy się na jego pamięć. Bo przecież jest na całym tym ciemnym i przygnębiającym tle jeden promyczek, — i nikt, żaden historyk nie będzie w stanie go zaprzeczyć. Przyznaje to nawet „Tygodnik Powszechny": „bunt... był wykorzystaniem istniejących fermentów...." A więc istniał ów „ferment", który inaczej się nazywa *poczuciem walki klasowej!* Rocznica Szeli nigdy dla nas nie była okazją dla radosnego święta, — i być nie powinna. Ale nigdy jej nie przemilczymy, — i zawsze, w skupieniu i spokoju, rozważymy to tragiczne zdarzenie naszej historii, nie by idealizować bohatera, a by uświadomić sobie MEMENTO płynące z jego postaci. To dla chłopów nie święto zwycięstwa, a święto ROZPAMIĘTYWANIA; ze swej strony nie chcemy niczego więcej, by dla pogrobowców szlachetczyzny było to święto NAPOMNIENIA.

WSPOMNIENIE SZELI — W SŁUŻBIE SZANTAŻU KLASOWEGO

W Polsce — gdzie istnieje zamiłowanie do przenoszenia sporów politycznych na jałowy teren dyskusji historycznej — wykorzystywano nieszczęsny wypadek Szeli do szantażowej akcji agitacyjnej przeciwchłopskiej. Działo się to tyle razy tak konsekwentnie, i trwa od dość dawna — że jaki badacz naukowy mógłby już napisać rozprawę socjologiczną: „Casus SZELI w antyludowej propagandzie politycznej". „Tygodnik Powszechny" przeciwko „Wsi" to byłby ostatni, najświeższy przykład w tej dysertacji.

Oto dlaczego nie damy się sprowokować do dyskusji O SZELI. My pragniemy problem inaczej postawić. My zapytujemy: Czy fakt, że polski ruch chłopski nie posiadał bardziej charakterystycznego i bardziej świadomego działacza, niż Szela— czy fakt ten obniża wartość samego ruchu? Czy można odmawiać klasie chłopskiej prawa do rozstrzygania o losie państwa? — to jest problem właściwy, a nie: czy Szela był moralnie w porządku!

Dziś nikt nas nie nabierze na święte oburzenie przeciwko Szeli! Za tym budującym uczuciem kryje się zwykła obelga rzucona chłopu. Upiór Szeli nas już nie straszy. — ale MY ZAGADNIENIE ODWRÓCIMY: WAS będzie straszył, musi straszyć, i — NIECHAJ STRASZY!

Bo dla nas ten paradoks wygląda inaczej! Dla nas za okrucieństwo Szeli, za jego głupotę, za krzywdę jaką wyrządził sprawie narodowej, — za jego brak orientacji, brak polotu, nawet za to, że nie stać go było na rysy godne bohatera walki klasowej, — za wszystko to odpowiedzialny jest nie starosta austriacki, nie zły chłopski instynkt, nie fatalizm dziejowy,— A TEN, KTO JEGO SAMEGO, JEGO OJCA, JEGO DZIADA UWAŻAŁ PRZEZ DZIESIĘĆ WIEKÓW ZA BYDLĘ, NIE ZA CZŁOWIEKA.

OSTATNIE SŁOWO „TYGODNIKOWI POWSZECHNEMU"

Ale dla anonimowego publicysty z „Tygodnika" to nie jest święto napomnienia, ani wyrzutu, ani skruchy. Dla niego jest satysfakcją, że znowu może wystąpić przeciwko pasji klasowej chłopskiej, prostując ze ścisłością historyczne błędy i ukazując ze złośliwą uciechą skazy na domniemanym „micie". Drodzy panowie! Właśnie dlatego, że macie wszędzie rację, właśnie dlatego, że nie można was złapać na żadnej rzeczowej pomyłce, właśnie dlatego okazuje się cały wasz perfidny stosunek. Waszym obowiązkiem było nie rzucać nam obelgę, a zastanowić się, DLACZEGO wydobywamy dziś z lamusa postać Szeli; jaki sens kulturotwórczy i klasowy kryje się w tym kroku. Było to chyba widoczne, choćby z artykułu St. Lichańskiego „Projekt powieści o Szeli", czy z poematu Skonecznego. Raziła was nietyle postać Szeli, co intencje, w jakich wywołaliśmy ją znowu; dlaczego nie chcieliście ich zauważyć i skrytykować?

Zdaje się, że wiemy to dobrze. Położenie „Tygodnika Powszechnego" dzisiaj, godne politowania, budzi współczucie, a nawet sympatię — zwykle tak bywa z opozycją w państwie, gdzie działa jeszcze wiele sprzecznych sił. Ale w takich sytuacjach, jak dyskusja o Szeli, ukazuje się, niby z za maski inne oblicze, — i dziś, gdy po tylu wiekach, podczas których tamci byli na wozie, a chłopi pod wozem — gdy dziś sytuacja się zmieniła, nie zamierzamy podtrzymywać w nikim niechęci do zaszczutych epigonów starego porządku. Ale z tego protestu przeciw gloryfikowaniu Szeli — mimo że niczego wprost protestowi nie można zarzucić, — jakże wiele daje się odczytać! Tu właśnie zjawia się „widmo Szeli" wywoływane przez premiera Składkowskiego nad trupami czterdziestu dwóch pomordowanych ludowców; tu dźwięczy rasowa, klasyczna niechęć do chama, tu możemy zobaczyć, coby nam groziło, gdyby znowu PRAŁAT sięgnął po władzę, stowarzyszony z militarystą, ziemianinem, handlarzem.

CI, KTÓRZY NIE ZAPOMNIELI

Kończąc swój rejestr pretensji do tygodnika „Wieś", przytacza „Tygodnik Powszechny" „wielkie słowa prawdziwego Polaka", by nas zawstydzić. Jest to fragment z hymnu Ujejskiego:

„Ale o Panie, *oni nie winni,*
Choć naszą *przyszłość cofnęli wstecz,*
Inni szatani byli tam czynni..."

Niestety, wiersze te nie świadczą, by ich autor wyciągnął wnioski z tragicznych zdarzeń rabacji. Góruje w nich wyrzut: „Naszą przyszłość cofnęli wstecz..." Ton modlitwy ma zresztą to do siebie, że nie brzmi przekonująco, — przyzwyczaili nas do tego ci, którzy się modlą głośno, a nieszczerze...

Ze swojej strony pozwolimy sobie przytoczyć innego poetę, bynajmniej nie Jasieńskiego czy innego „komunistę", i bynajmniej nawet nie „postępowego". Przecież żywił on dla ludu wiele sympatii — tego uczucia naiwnego, nieokreślonego, które jednak o tyle wyżej stoi od rygoryzmu moralnego „Tygodnika", — choć tak odległe jeszcze jest od radykalizmu. W „Weselu" Wyspiańskiego jest scena, gdy Gospodarz i Pan Młody, szlachcice z dziada pradziada, dziś bratający się z chłopem, przebrani w sukmany, w chwili zamyślenia, zdala od zgiełku zabawy, wspominają krwawy „rok czterdziesty szósty":

Pan Młody: Myśmy wszystko zapomnieli;
Mego dziadka piłą rżnęli...
myśmy wszystko zapomnieli.

Gospodarz: Mego ojca gdzieś zadźgali.
gdzieś zatłukli, spopychali;
kijakami, motykami
krwawiącego przez lód gnali...
Myśmy wszystko przebaczyli,
Myśmy wszystko zapomnieli...

Ze swej strony pozwalamy sobie poddać ku chrześcijańskiej rozwadze tę stroniczkę polskiej literatury wszystkim, którzy przecież muszą być rasowymi szlachcicami, bo przypominają sławne powiedzenie o świetnym rodzie Burbonów: NICZEGO SIĘ NIE NAUCZYLI, NICZEGO NIE ZAPOMNIELI, NICZEGO NIE PRZEBACZYLI.

Zygmunt Kałużyński

ADOLF OLECHNOWICZ

Narodziny chłopskiego gimnazjum

Gimnazjum we wsi, gimnazjum chłopskie...

Łatwo to powiedzieć, nie trudno napisać, ale jak to realizować?...

Rząd?... Wykluczone, nie pozwala na to budżet. Zresztą brak nauczycieli na obsłużenie gimnazjów już istniejących, więc nonsensem byłoby zakładanie nowych.

Słowem wieś musi zaczekać. A wieś wie, co znaczy czekać. Czeka wieki i doskonale rozumie, jak na tym czekaniu wychodzi. I dlatego czekać już nie chce i bardzo dobrze, że nie chce.

Powstają chłopskie towarzystwa burs i stypendiów. Ale znów te kilkaset młodzieży wiejskiej, która dzięki tym towarzystwom kształci się dzisiaj, jest kroplą w morzu w stosunku do milionów.

Powstają chłopskie gimnazja i licea korespondencyjne. Korzystają z nich dzisiaj tysiące młodzieży wiejskiej. Ale, mimo chłopskiej twardości i uporu, nie wielu prawdopodobnie da radę zdobyć tą drogą rzetelne wykształcenie, bo w środowisku wiejskim brak ludzi, którzyby mogli pomóc w trudnej pracy samokształceniowej. A zresztą korespondencyjną drogą można jako tako uczyć, ale prawie niemożliwością jest wychowywać.

Powstają na wsi tu i ówdzie wieczorowe kursy dokształcające.

Żadna z tych koncepcji nie zdoła rozwiązać sprawy kształcenia się i ukulturalnienia się wsi tak jak ją rozwiązać trzeba.

Dlatego wieś zaczyna u siebie organizować gimnazja i licea.

Żeby nie być gołosłownym, spróbuję, chociaż pokrótce, opisać narodziny gimnazjum i liceum w jednej z naszych wsi.

Nie jest to wieś jakaś specjalna, jakaś wyjątkowa. Wsi takich w Polsce dużo — każda, społecznie rozbudzona wieś, podobna jest do tej. Domów jest 200, rodzin dużo więcej. Jest kościół, szkoła powszechna, koło młodzieży wiejskiej „Wici", jest spółdzielnia spożywców, spółdzielnia mleczarska, piekarnia spółdzielcza. Jest kilka gospodarstw, w których znać względny dostatek, większość takich — w których koniec z końcem ledwo się wiąże, a nie mało i takich, gdzie nędza z każdego kąta wyziera. Słowem wieś jak wiele innych.

Podczas okupacji tak samo tutaj, jak gdzieindziej: konspiracja, aresztowania, przechowywanie ludzi, którym się pod nogami pali. Jednych tu, jak i gdzieindziej, wojna wypala na najszlachetniejszy kruszec, innych demoralizuje, wypacza, łamie.

I oto w krwawą noc hitlerowskiej okupacji, najpierw kilku, a potem kilkunastu młodych synów wsi postanawia się uczyć. Wśród nich jest były słuchacz Uniwersytetu Ludowego w Gaci, wychowanek Solarza — jego to inicjatywa; ale kto z nim chce w zgodzie żyć, ten nie powinien o nim mówić, a tymbardziej pisać. Taki już on jest ten solarzowy Gacak i dlatego ja muszę się bardzo pilnować, żeby pisząc o jego wsi, o nim samym ani słowem nie wspomnieć — co jest naprawdę nie łatwo.

Rozejrzeli się wokoło, wyszukali profesorów, którzy tu i ówdzie siedzieli zamaskowani, i rozpoczęła się nauka. Szkoła ta nazywała się — komplet tajnego nauczania, klasa I gimnazjum. Za rok przekształciła się w klasę drugą, a do pierwszej przyszli nowi itd. Oczywista nie szło to ani łatwo, ani szybko. Bywało różnie: uczyli się w izbie, czasami na strychu, często w stodole, a pewien czas musieli zbierać się w lesie i tam, w obliczu ciągłego niebezpieczeństwa wsypy, leżąc brzuchem na miękkim mchu w około siedzącego po chińsku profesora, trzeba było odwalać gimnazjalny program.

Niemcy pokonani. powstaje Polska. Można wyjść z konspiracji. Zespół przestaje być tajnym kompletem. Uczyć się chcą wszyscy, nauki pragnie cała młodzież wiejska. Tylko gimnazjum na miejscu, to żywiołowe pragnienie zdoła zaspokoić.

Zorganizować gimnazjum!....

Jest duży gmach szkoły powszechnej — do południa powszechna, po południu gimnazjum. Ale co z tymi, którzy w tajnym komplecie gimnazjum przerobili?... Więc i liceum!...

Kilku nauczycieli jest — ci, którzy prowadzili tajne komplety. Ale na gimnazjum i liceum trzeba ich grubo więcej. I zaczęło się polowanie na pedagogów. Okazało się, że łatwiej jest zbudować najwspanialszy gmach dla gimnazjum, niż skompletować dla niego ciało pedagogiczne. Ileż ci szaleni ludzie, którzy odważyli się gimnazjum we wsi organizować, mieli kłopotów z wyszukaniem personelu pedagogicznego, ileż ich to kosztowało trudu i czasu — wprost nie do uwierzenia. Kiedy mi o tym polowaniu na profesorów po całej Polsce opowiadano, to chciało się śmiać i płakać. Łódź, Warszawa, Poznań, Kraków trzeba było objechać kilkakrotnie.

Skompletowali wreszcie jakieś ciało pedagogiczne. Szkoła ruszyła. Uczniów masa — walą się dzieci chłopskie ze wszystkich okolicznych wsi. Sama pierwsza klasa liczy około stu — robi się dwie równoległe. Klasy starsze, aż do drugiej licealnej włącznie, są też prawie pełne. Wprowadza się opłaty, bo chociaż gimnazjum upaństwowiono, to i tak trzeba, — przecież z pensji nauczyciel nie wyżyje. Wykańcza się na gwałt dom dla nauczycieli, bo nie mają gdzie mieszkać.

Tymczasem ktoś z pedagogów nie wytrzymuje — ucieka. Znów Łódź, Warszawa, Poznań, Kraków... znajdują. Ale ten nowy, po trzech miesiącach, też wyjeżdża. Wielka szkoda, bo doskonale pasował do wsi i tej szkoły. Wzywają go do ważniejszej pracy. Zresztą dostaje pięciopokojowe mieszkanie z centralnym ogrzewaniem, elektrycznym światłem, gazem i łazienką i to w wojewódzkim mieście, a więc: teatry, kina, koncerty, biblioteki, czytelnie... A tu miał pod słomianą strzechą pokój z kuchnią, karbidówkę kopcącą i śmierdzącą, błoto po kolana już o krok od domu i pensję kilkakrotnie mniejszą.

Inny belfer nie może znieść chamskiej atmosfery, nie może się dopasować do chłopskiego komitetu rodzicielskiego, a wieś znów nie może pogodzić się z jego średniowiecznym jezuickim belfrowaniem. Wyjeżdża.

Nic nie poradzisz — chłopy, a ściśle: Solarzowy Gacak, nogi za pas i... Łódź, Poznań. Warszawa...

W Warszawie jednego wynaleźli. Zgadza się, ale... największe nieszczęście, że każdy ma jakieś ale. Otóż w tym wypadku to ale jest tego rodzaju, że dom mu w stolicy cudem ocalał, nie może z nim się rozstać. Gacak klnie w duchu Hitlera, że w ten dom profesorski bombą nie trafił, wreszcie nie wytrzymuje: „Panie profesorze, niech pan na miłość boską jedzie do nas, bo jeżeli tylko dom ten pana wiąże, to dalibóg zaraz wysadzę go w powietrze". Profesor się zgadza...

W Tarnowie wynaleźli drugiego; przyrzekł, ostateczną odpowiedź poda telegraficznie. Czekają...

Jest wreszcie telegram. Otwierają, jedno słowo... „rezygnuję". Straszne słowo. Tele-

gram w kawałki i w drogę. Znów Łódź, Warszawa, Kraków, Poznań...

Dziś już tam jako tako stosunki się ustabilizowały. Co prawda lekcje odbywają się w dalszym ciągu popołudniu. Wykładowców jest tylko tylu, że muszą odwalać pańszczyznę nadliczbówek. Z mieszkaniami dla nauczycieli w dalszym ciągu krucho — tłoczą się po kilku w jednym pokoju.

Najwspanialszą zdobyczą, jaką wieś ta ostatnio upolowała, jest obecny dyrektor gimnazjum i liceum. Chłopi go uwielbiają. Jest to rzadki dzisiaj człowiek, który gorąco czuje potrzebę tworzenia szkoły średniej na wsi i rozumie istotę gimnazjum chłopskiego. Słyszałem już co prawda głosy z miasta, że się on na wsi „marnuje“, że należałoby powierzyć mu „ważniejszą“ placówkę. Odebranie go wsi byłoby na prawdę straszną krzywdą wyrządzoną chłopom, którzy swą niezmordowaną pracą nad zorganizowaniem gimnazjum zasłużyli w pełni na tego człowieka. Słyszałem też, że chcą zabrać stamtąd nauczycielkę języka angielskiego — rodowitą Angielkę; jako że tak wspaniała siła w chłopskim gimnazjum nie jest w pełni wykorzystana, gdzieindziej jest bardziej potrzebna i więcej dałaby korzyści.

Jestem jednak jak najlepszej myśli, bo nie wierzę, żeby takiemu rozumowaniu uległy władze szkolne. Wierzę też, że dyrektor ów, a również i personel pedagogiczny, świadomi, że wielkiej służą sprawie, poświęcą dlań jej wygodę i powaby wielkomiejskiego życia. Tymbardziej, że i tutaj warunki się poprawiają, bo chłopi nie ustają w pracy.

Oto przygotowany już jest materiał (od cegły po blachę na dach włącznie), na budowę budynku dla gimnazjum. Budowa rozpocznie się na wiosnę, są już pieniądze — władze państwowe, widząc wspaniały wysiłek wsi, udzieliły subwencji. Chłopi znów nie żałują dniówek, furmanek, każdy ma dzieci, każdy pragnie je kształcić, a będzie mógł uczynić to tylko wtedy, kiedy na miejscu, we wsi będzie gimnazjum.

Więc do roboty!... z całej siły!...

Inne gimnazja chłopskie rodzą się w podobny sposób. Zdarzają się i cięższe porody, bywają i carskie cięcia kończące się likwidacją. Wiele gimnazjów chłopskich nie jest jeszcze upaństwowionych.

Wielu nuczycieli ze szkolnictwa zrezygnowali, bo nie mogli w żaden sposób wytrzymać materialnie. Znam świetnego pedagoga, nauczyciela z bożej łaski. Piętnaście lat pracy szkolnej ma za sobą, ile razy mówi o szkole, zawsze z tęsknotą; obecnie jest administratorem majątku, bo z pensji nauczycielskiej w żaden sposób nie mógł utrzymać żony, dzieci i siebie. Znam świetnego profesora - wychowawcę, człowieka starszego, ale w pełni sił jeszcze. Całe życie pracował w szkolnictwie jako nauczyciel szkół średnich, długoletni dyrektor zakładów kształcenia nauczycieli, potem wysoki urzędnik w administracji szkolnej. Do szkolnictwa nie wraca. Pracuje w państwowym przemyśle skór. Nigdy w życiu w tej dziedzinie nie pracował, nie miał nic wspólnego z garbarstwem. Mimo to płacą mu tu kilkakrotnie więcej, niż w szkolnictwie, chociaż i to, jak szkoła, jest instytucją państwową (Min. Przemysłu).

I cóż dziwnego, że brak nauczycieli, że aby jednego wyszukać, trzeba całą Polskę wszerz i wzdłuż kilka razy przejechać. Nawet i w dzisiejszych trudnych warunkach ekonomicznych państwa, trzeba by nauczycielowi zapewnić minimum egzystencji za wszelką cenę, a przynajmniej należy mu się tyle, ile mają urzędnicy państwowi innych resortów. Bo jeżeli taki stan rzeczy potrwa dłużej, to dezercja nauczycieli ze szkolnictwa może się zwiększać, a wtedy i dziesięć maratońskich biegów dookoła Polski w poszukiwaniu nauczyciela nie da żadnego wyniku.

Sytuację materialną swoich nauczycieli wieś ratuje w ten sposób, że wpłaca miesięczne składki od uczącego się dziecka, lub zbiera datki w naturze. Żebractwo to powinno się jak najszybciej skończyć, bo jest dla nauczycieli upokarzające, różnie bowiem przy tych składkach i datkach bywa.

Jeszcze jedno. Moim zdaniem nauczyciel szkoły wiejskiej powinien mieć wynagrodzenie wyższe od nauczyciela miejskiego. Powinien być jakiś dodatek wiejski jako ekwiwalent za zrzeczenie się kulturalnych przyjemności i imprez miejskich.

Adolf Olechnowicz

JÓZEF ANDRZEJ FRASIK

„Urodzony w źdźble“ *)

(wybór)



* * *

Urodzony w drzew szumie,
przechodzę sobie uboczem:
wiatr przynosi porę kwitnienia,
więc kwitnie dal i polne źdźbło
i ja, jak umiem.

A że sam najcisze przekwitam,
a że sam szumię w źdźble żyta —
skibo czarna, pługu ojca!
Kogo - to wiatr przynosi?
Tamtego czasu uszczknij, przywołaj, wołaj!
Jakbyś w dłonie rosy rośnej urosił.

Do poety

Wiele czasu upłynie nim nas ta chwila nawiedzi —
a wtedy zerwanej gałązce śliwiny się nie dziw:

Porzucił ją ktoś na drodze, jak zbędną,
a na niej liście zielone, zielenią się dalej, nie więdną,

a u niej dalej pod korą soki krążą,
tylko już teraz szybciej i w inną stronę podążą.

A u niej pod korą wilgotną tyle drzewiastej woni,
jeno gałązkę podnieść, jeno głowę nisko pokłonić:

pięć kręgów na niej, jak krótko rosła —
a już ją siła nieznana w inną stronę uniosła.

Tak, przyjacielu, nim ciebie ta chwila minie,
pokłoń się polny w polu mojej pannie, śliwinie.

Kto piękniej, niż ty, gałęzinie przemówi,
czas ubiega — jeno się z skrzypkami polnymi uwiń!

Hej, kto pola rzewniej niż ty zawoła,
jeno się nie daj tej burzy, co nas dusi dokoła.

Maczki, 1943.

Powitanie żyta

Święta Zofia już kłosy wywija żytom,
święta Zofio, żyta żółto jak łąki przekwitną.

Nim święty Wit kolanka policzy w zbożu
i na pola najcichszy wiatr położy.

Nim się wyszumi pora polnego kwitnienia
i kłos się każdy wyśpiewa i w chleb zamieni.

Tak o zachodzie, po rosie, zwołują się przepiórki,
albo na wschód wiosłując, wiosenne obłoki — chmurki.

Na skrzydłach wiatru mieszkasz zbożowa wiosno polna —
Wozy wiatru, jadąc, żytami dzwonią zwolna.

Świątku przydrożny i dobry, pełny żytniego śpiewu,
by wicher żyt nie powalił, najświętszym słowem mu przemów!

A Ty, który nie siejesz, w szumie nad polami się jawisz,
Boże polny i żytni, rosą polom — jak przed wiekami błogosławisz.

Wieczorną, wieczorną godziną, najniżej głowę pochyl:
Rosa pada. Burzy nie będzie. Na listku trawy śpi motyl.

Rok ów

(fragment)

Dzika kanonada na skrzydle rzezi:
czołgi przełomują pole walki. —
Czołgi zza chłopskich chałup, z leśnych wyrębów,
przyparte do ziemi suną w wąwóz, kędy tabory,
konie, skrzypienie kół, wrzawa żołnierzy, —
popycha kolumnę, do tyłu, prędzej!
Chwila nagli! Gdy oto z horyzontu
zęby gąsienic, szczekacze ognia,
kulomioty dopadły skib i sieką...
Zaraz droga zamienia się w ciżbę,
jakby ogromną bitwą obłoków, dym ściele ścierniska:
bitwa czołgów!
A ci i tamci w rozpadliny bruzd padają,
w bunkry wilgotne, skąd szmer już odlatujących Lusz.

— Matko — Ziemio! Uchroń ich rodzicielko!
Gołębie zdmuchnięte z chłopskich stodół,
kołują bezradnie nad polami, płonie wieś
i ziemia czeka, aby poległych okryć ciszą —
A słońce chowa się za góry.

W urodzie krajobrazu

Nie wiem, czy było naprawdę, czy mi się tylko śniło,
jak pod kwitnącą czereśnią śniłem czarnooką miłość.

Brzóz białych jak welon, a jak szept ich gałęzie —
tylko jej kroki drobne, tylko jej oczy wszędzie.

Sady lśnią biało, jak idziemy i płoty —
i pełno, jak szczęścia, nadmuchanej wiatrem pozłoty.

Już wiader dzwonki wiszą u studzien,
mijają dzień przedwieczorny — ludzie —

I idą z pełnymi konwiami i chłodna woda lśni:
A ty obłokiem nie przechodź! Tylko mi, młoda, nie miń.

W ziemi ruskiej

Gdy mijam Żarwanicę, tylko niwa się mieni,
tylko żyto drży kłosem po odlocie jeleni.

Las przeszumiał i ucichł: wypłakał Sokólkę kalinową,
ruską pannę, kukurydzę, zostawił wdową.
A tu potok srebrzy, a tu rzeczułka,
w wiankach zieleni raz wraz wykwita kukułką;
a tu krzykiem słońce wołają pawie,
łan koniczyny, obłoki na murawie.

Południe: skrzypki wołają na wesele,
koniczyna zakwita, zawitały z muzyką trzmiele!

A tu wrony okrakują kurhanki —
hej słowiczku, Bohdanie! Już nie ma... Rano mgieł wianki.

1943.

*) *Tom poezji pod tym tytułem ukaże się wkrótce nakładem Oddziału Wiejskiego Związku Zaw. Literatów Polskich.*

MACIEJ CZUŁA

Pamiętnik

Kilkanaście kilometrów na wschód od Krakowa leżą dwie niedaleko od siebie położone wioski: Branice i Ruszcza. Właściciele pierwszej — Badeniowie nie odznaczali się niczem, zato jeden z właścicieli Ruszczy, Paweł Popiel, brat Arcybiskupa warszawskiego, zwany z powodu zbyt długiego organu powonienia „nosatą ekscelencją" znany był w swoim czasie (połowa 19 wieku) jako jeden — łącznie z profesorem Szujskim i publicystą Koźmianem — z założycieli stronnictwa konserwatywnego, czyli stańczykowskiego, a którego programem było: bezwzględne zwalczanie powstań i wszelkich ruchów patriotycznych w Narodzie, zupełna lojalność wobec tronów i zaborców (przy Tobie najjaśniejszy Panie stać chcemy") oraz tępienie młodego jeszcze wówczas ruchu ludowego i robotniczego.

W tym celu założyli stańczycy w Krakowie swój organ: dziennik „Czas", redagowany przez Popiela.

Ś.P. ojciec mój dzierżawił w tym czasie od hr. Badeniego prawo przewozu przez Wisłę, za co otrzymał dom na mieszkanie, dwie morgi pola i dużą ilość gajów i krzaków nadwiślańskich, w których można było wychować parę krów i wszelkich innych zwierząt domowych. Krzaki te były doskonałym schronieniem dla przemytników, którzy za niedaleką granicę Królestwa przemycali w bydlęcych „macherzynach" czyli błonach drogi tam spirytus i tytoń, przynosząc wzamian poszukiwaną u nas dobrą herbatę i machorkę. Że zdarzało się przytem zastrzelenie odważnego przemytnika, to trudno. Gdy jednych brakło, odważali się na ten ryzykowny proceder inni i przemytnictwo dalej kwitło. Owe gaje, krzaki i brzegi Wisły są dla mnie najmilszymi wspomnieniami, były bowiem moim „przedszkolem", w którym zawarłem przyjaźń z dość dziką jeszcze przyrodą, ptactwem, rybami, leśnymi zwierzątkami, wężami, jaszczurkami, motylami i całym przebogatym dziedzictwem natury, wśród której było mi tak błogo i dobrze, że mi stroskana matka nieraz coś do jedzenia do gaju przynosiła — sama słuchając świergotu ptactwa i przekomarzając się z wiewiórkami i łasicami. Wszystkimi okruszynami je wykarmiałem, sam zapominając o jedzeniu! Że przy przedzieraniu się przez krzaki pokaleczyłem nogi, potargałem ubranie, umorusałem się niby cyganiątko, któżby o tym myślał!

Miałem usposobienie dość wrażliwe i marzycielskie, to też już w zaraniu mego życia interesowało mnie wszystko, na co patrzyłem, co widziałem, a zwłaszcza czego dosięgnąć nie mogłem i dlatego pewnego razu owładnęła mną nieprzeparta chęć chwycić tak jak kota czy wiewiórkę za ogon, także i słońce. — Ta piękna, duża, ognista, czerwono zabarwiona kula, interesowała mnie niewymownie zwłaszcza wieczorem, gdy się chyliła za domami i stodołami ku zachodowi. Ale jak ją dogonić, w którym miejscu zachodzi?

I gdy się wieczór zrobił, a czerwona kula ugięła się ku wierzchołkom drzew, puściłem się pędem w jej stronę, aż znużonego otulił mrok; słońca już nie było, a ja zapomniawszy, w której stronie dom, biegłem tam i sam, wreszcie zmęczony położyłem się i usnąłem. Obudziłem się dopiero na rękach ojca, poszukującego mnie już od godziny, za co dostałem klapsa, ażeby mi wywietrzały z głowy „głupie figle" — gonienie wiatru w polu.

Sielanka moja z przyrodą skończyła się jednak niedługo, gdyż ojciec zakupił za Wisłą w Grabiu 2 morgi pola z domem i tam się przeprowadziliśmy. Było tego za mało, aby z tego wyżyć, a za dużo żeby umrzeć z głodu, więc cierpieliśmy biedę, póki ojciec, który był cieślą nie znalazł zajęcia w Krakowie. Bo ojciec gdy chciał, był dość obrotny. Za kawalerskich czasów chodził na flis i spławiał z innymi zboże i sól do Gdańska, skąd wracał do domu brzegami Wisły — gdy z towarem jechali, gromadziły się ubogie kobiety nucąc flisakom:

„Flisaczkowie mili, dajcież nam też soli".

Więc też niejeden okruch cennego minerału przenosił się rękami flisaków z galaru do zapasek kobiet. Na flisie nauczył się czytać i pisać. Matka czytała tylko z książki do nabożeństwa. Rodzice byli ludźmi rozumnymi, ale starej daty, oporni na wszelkie nowe prądy społeczne.

Grabie było wioską niedużą, biedną, gospodarz 10-morgowy był już bogaczem. Jedyną osobliwością w niej był stary modrzewiowy kościółek, trzy żydowskie karczmy i dom parafialny z dużą izbą, gdzie organista uczył młodzież bogatszych gospodarzy czytać i pisać — a w r. 1895 założono w niej już „rządową" szkołę, w której wykładał nauczyciel. Miałem wówczas lat sześć, więc i mnie ojciec do niej zapisał. Izba szkolna była w budynku drewnianym, obszerna, ale niska, więc też i zaduch w niej, gdy się kilkadziesiąt dzieci do niej zeszło — był duży. Szkoła była 2-klasowa i prowadzona była na bardzo niskim poziomie. Uczyliśmy się pamięciowo, na zeszytach i tabliczce łupkowej, czytania, pisania, rachunków i rysunków. Podręczniki szkolne wydawane przez Galicyjską C. K. Radę Szkolną Krajową były na poziomie najniższym. Uczono dużo o Rudolfie Habsburgu, Cesarzu i Cesarzowej Elżbiecie i Monarchii Austriacko-Węgierskiej, a dopiero na szarym końcu w skąpych ustępach coś z historii polskiej. Nauczycielem był Michał Rączka, dobry człowiek i zdolny pedagog, cóż skoro w ubogich ramach programu szkolnego nie wiele nas mógł nauczyć. Niedługo rozpili go miejscowi gospodarze, którzy mieli sobie za zaszczyt uczcić w ten sposób „prefesura", że mu zalecali popijać z sobą i razu pewnego przyszedł do dzieci w tak mało przytomnym stanie, że oddał przy dzieciach na ścianę dług naturze. Ktoś o tem doniósł inspektorowi szkolnemu, a gdy ten zjechał na wizytację i znowu nauczyciela zastał pijanym, zawiesił go z miejsca w nauczaniu a biedny nauczyciel Rączka — którego chłopi jakoś nie bronili, musiał się wynieść z Grabia i niedługo skończył samobójstwem.

Żałowaliśmy go wszyscy, bo mimo nieszczęsnego nałogu był człowiekiem oddanym nauce, a ja osobiście zawdzięczałem mu dużo.

Po nim przybył na posadę nauczyciela Stanisław Leitner, również dobry nauczyciel, choć może mniej od pierwszego wszechstronny. Za jego czasów wybudowano w Grabiu nową, piętrową, 4-klasową szkołę do której już nie uczęszczałem. Lekcję szkolną zaczynaliśmy zawsze pieśnią „Zdrowaś Mario Boga Rodzico" przy wtórze skrzypiec, poczem śpiewaliśmy tak przed — jak i po nauce rozmaite piosenki ludowe.

Była w szkole mała biblioteczka Tow. Oświaty Ludowej i z niej wypożyczaliśmy sobie do domu, zwłaszcza w zimie — kiedy było więcej czasu do czytania rozmaite książeczki. Były one bez wielkiej wartości literackiej, ot takie sobie powiastki „dla ludu", jakich napisano tysiące, a której autorami byli przeważnie księża i panowie z miasta. Ale znalazła się i lepsza książka, np. powieść Kraszewskiego w guście np. „Obrona Częstochowy", „Stara baśń" a nawet poezje naszych wieszczów, które niebardzo rozumiano, a więc nie kwapiono się z pożyczaniem. Oprócz nich plątały się po domach rozmaite „historie o pięknej Magdalenie", „O siedmiu mędrcach", „Robert diabeł", „Płacz Ojców Świętych" itd., a ojciec przynosił stale sprzedawane w zakrystii „Posłaniec Apostolstwa" i „Głosy katolickie", które, gdy zwyczajnie w niedzielę po nabożeństwie odczytywał, musiało być w domu cicho, jakby mak siał.

Przed południem chodziło się do szkoły, a po południu trzeba było paść krowę koło domu, po żniwach na miedzy i na ściernisku, a po św. Michale, gdy po potrawach wolno było paść wszędzie, gnałem krowę daleko od domu na wielkie łąki za wsią, gdzie pasiarze z całej wsi tyle nazganiali bydła, że wyglądało ono na tle traw, jak wielkie czarne plamy!

Co też ta dziatwa obojga płci, starsza i młodsza przy tym paszeniu bydła nie wyrabiała! Jedni wystrugiwali fujarki z łoziny i piszczeli na nich przenikliwie, drudzy wyrabiali fajeczki z lubczyku i smrodzili palonymi w niej liściami wierzbowymi i buraczanymi, a inni łapali ryby w stawach, piskorze w bagnach, bili się i hałasowali co nie miara, wdrapywali się na szczyty drzew i wybierali jaja lub pisklęta ptakom. Ujeżdżanie koni a w braku tychże, krów, urządzanie rozmaitych gier, jak w przerywanego króla, w świnkę, w kręgle — należało do codziennych zajęć „wisusów". Kulminacyjnym punktem tych zabaw było zwyczajne pieczenie ziemniaków, przytem jako materiał opałowy służył najczęściej suszony bydlęcy nawóz.

Ponieważ zawsze miałem nieprzepartą chęć do czytania, brałem sobie za krową książeczkę do nauki, lub jaką inną „zabawną" czy powiastkę — cóż skoro inni pastuszkowie ciągnęli mnie do zabawy, nie do czytania. Ledwo żem się im czasem opędził i robiłem to, w czym się rozkochałem, tj. czytałem co mi do ręki wpadło.

Ale w takiej zapadłej i zabitej od świata deskami wsi, jaką było Grabie, trudno było w owych czasach o najgłupszą książkę. Biblioteczkę dawno pochłonąłem, tj. nie było w niej książki, którejbym nie znał, ale co dalej czytać? Były już pierwsze gazetki polityczne, jak „Wieniec", „Pszczółka", „Przyjaciel Ludu", „Ojczyzna" i inne, ale prenumerowali je nieliczni starzy chłopi, którzy mi je z rąk wyrywali, gdym się im chciał przypatrzeć. Czytał gazety i książki ksiądz i nauczyciel, ale ci także nie kwapili się pożyczać „smarkaczowi". Jedynie nauczyciel Leitner pożyczał mi czasem stosowną do mego wieku książkę — ale i tak nie miałem takiej, jakiej chciałem i jaka mi się podobała.

Skończył się rok szkolny, uzyskałem też przy egzaminie stopień bardzo dobry, a w nagrodę otrzymałem książeczkę czerwoną z napisem „Nagroda pilności" i z tytułem „Pamiętniki Generała Józefa Kopcia na Syberii". Przy egzaminie z drugiej klasy dostałem ładną książkę do nabożeństwa, a potknąłem się i otrzymałem stopień dostateczny przy egzaminie z klasy trzeciej, co się jednak stało raczej z winy ks. Proboszcza, a zarazem katechety ks. Skwarczyńskiego, niż mnie. Ks. Skwarczyński, aczkolwiek człowiek mądry, i wybitny kaznodzieja, miał tę małą wadę, że na godziny przeznaczone na naukę religii zwyczajnie nie uczęszczał, nic prawie dzieciom z dziedziny religii nie wykładał, więc też i dzieci niewiele, a tępe i nic o istocie religii pojęcia nie miały.

Nagle zjeżdża do szkoły dziekan Wielicki na wizytację i ks. Skwarczyński musiał w jego obecności zadawać w tej materii dzieciom pytania, na które one ani raz nic nie odpowiedziały. Zapytał się i mnie o coś i też nie wiele więcej od tamtych wiedziałem. Ksiądz bladł i czerwieniał na przemiany ze wstydu

JANINA SOBOTNICZOWA

Dramat, którego nie widzimy

Praga czeska, w marcu

Polska publicystyka, polska prasa literacka a zarazem prasa codzienna systematycznie nie poświęca dostatecznej uwagi t. zw. problemom śląskim. Ciągła ignorancja a zarazem beztroska nieznajomość tych spraw, przyczynia się do tego, że „problem śląski", wygrywany jest coraz mocniej w karkołomnych pretensjach pewnych zagranicznych kół na forum międzynarodowym. Ten stan trwający w Polsce, wykorzystywany jest przez coraz gwałtowniejsze wystąpienia propagandowe, nie mające dotąd precedensu w dziejach naszych stosunków z bratnim narodem czeskim.

„SZCZUCIE" W PARLAMENCIE PRASKIM

W kilkanaście dni po odjeździe do Warszawy pierwszych członków delegacji polskiej do rokowań z Czechami byłam obecna na posiedzeniu tymczasowego parlamentu republiki czeskosłowackiej w Pradze. W Pradze modny jest dzisiaj Śląsk i owe „problemy" śląskie. Modne stało się dla propagandy czeskiej aby wszędzie, ciągle i stale deklamować o „czeskim prawie" do wszystkich ziem śląskich. W normalnych stosunkach pewne stale powtarzane wypowiedzi oficjalnych polityków czeskich na tematy śląskie, wywołałyby bardzo poważne sprzeciwy dyplomatyczne i musiałyby być uważane jako wyraźny atak na państwowe terytorium Rzeczypospolitej Polskiej. Dziś Polska demokratyczna, okazując swe dobre chęci porozumiewawcze względem słowiańskiego narodu czeskiego, czyni tak, jakby o tych wszystkich niesłowiańskich, grubo imperialistycznych i obraźliwych wyczynach polityków czeskich i propagandy czeskiej nic nie wiedziała. Być może, że Czesi dopatrują się w takim stanowisku Polski jej słabości i zupełnej bezmocy. Ale takich pomyłek czeska polityka popełniła już dawniej więcej. Mylił się nawet kiedyś w swych horoskopach prezydent Benesz, kiedy przebywając już na emigracji w Londynie wysłał do Emila Hachy gratulacyjny telegram z powodu wybrania tegoż Hachy... czeskim prezydentem z woli Adolfa Hitlera. Fakt ten jest znany, wiadomość tę zresztą opublikował swego czasu praski tygodnik czeski p.t. „Prizitomnost" (Przyszłość). Otóż będąc w parlamencie praskim ze zdziwieniem wysłuchałem dwóch czeskich posłów, znanych prawicowych działaczy, posła narodowo - socjalistycznego Franciszka Uhlirza i posła czeskiej klerykalnej partii ludowej niejakiego Pawlika. Obydwaj ci posłowie, aby maskować system tyranii i policyjnego knuta na Zaolziu, zaczęli szermować nieprawdopodobnymi argumentami w rodzaju takich, że autochtoniczna ludność polska na Zaolziu przybyła na ten teren z Polski, że ludność ta musi być wyrzucona na Zaolzie i t. p. Aby jednak na miejscu stwierdzić prawdziwość argumentów czeskich szowinistów, postanowiłam na drugi dzień po wygłoszeniu tych bzdurstw, wyjechać osobiście na Zaolzie.

SYSTEM TYRANII I POLICYJNEGO KNUTA

Ta sprawa jest trudna do opisania, to nie jest sprawa, to nie jest problem czy zagadnienie... to jest jeden straszny, niekończący się dramat. Dramat tym bardziej bolesny, że autorami jego są Słowianie... są bracia Czesi! Ilu Polaków musiało już uciec przed czeskim reżimem policyjnym z okręgu bogumińskiego do Polski? To samo dzieje się w okręgu frysztackim, cieszyńskim i jabłonkowskim! Wszędzie tylko skargi, westchnienia a często łzy! I oskarżające pytania: dlaczego Polska nic nie robi, aby nas traktowano przynajmniej jako ludzi równych z równymi? Za czasów okupacji niemieckiej, kto był Polakiem — a tylko z takimi rozmawiałam — był zaszczuwany na śmierć. Przed wejściem do parku w Boguminie wisiała tablica z następującym napisem: cyganom, psom i Polakom wstęp wzbroniony! Czechów, a było ich tu niewielu, zakaz wchodzenia do parku nie obowiązywał. Gdzież był ten bierny opór czeski na Zaolziu przeciwko Niemcom w czasie okupacji? W Cieszynie było dwadzieścia cztery szubienic... ale to byli wszyscy Polacy, to samo gdzie indziej. To są statystyki polskich ofiar i polskiej krwi. A dzisiejsze statystyki czeskie, te z parlamentu czeskiego, skąd się one wzięły? — Hm, zaraz. Jak wiadomo Zaolzie było tym krajem, który został wcielony do Rzeszy, szereg ludzi poaresztowano, w każdej wiosce wywłaszczano... a później nastąpiła akcja t. zw. Volkslisty. Częste były także wypadki, że Gestapo tych opornych, którzy nie chcieli przyjąć Volkslisty, wzywało do siebie, żądając podpisania Volkslisty, albo też w wypadku odmownym, z miejsca posyłało do więzienia lub obozu. Dlatego pewna liczba ludności przyjęła Volkslistę, aby ratować już tylko życie. W maju 1945 roku pojawili się na Zaolziu Czesi i zaczęli urzędować z tupetem, z groźbą, z nieukrywaną nienawiścią do Polaków. Zaczęto robić różne spisy; — kto się podawał za Polaka, perswadowano lub grożono mu, aby uzyskać podanie narodowości czeskiej: — „bo inaczej nie zrehabilitujemy, a jako Polak będziecie wywiezieni do Polski, wszyscy, którzy się przyznają teraz do polskości, muszą odejść z Zaolzia do Polski, my to już mamy zagranicą zagwarantowane. Nasi politycy w Londynie uzyskali przyrzeczenie Churchilla, że sprawa Zaolzia dla Polski jest już przegrana". Tak wypowiadała się administracja czeska. Pewna część ludności, obawiając się po sześciu latach nowych czarnych dni klęski, wbrew swoim przeświadczeniom zapodała narodowość czeską. System tyranii zwyciężał! A chodziło tu o tych, którzy posiadali nr. 3 Volkslisty do odwołania — a więc o Polaków. A tych zrozpaczonych ludzi zaczął szczuć do takiego postępowania, jeszcze ktoś inny., był to znowu i tym razem Niemiec... dawny blockleiter, dawny essmann, dawny niemiecki policjant — typ, który posiadał nr. 1 lub 2 Volkslisty! Ten typ stał się naraz sprzymierzeńcem czeskiej administracji na Zaolziu przeciwko wszystkiemu co polskie. I ten typ Niemca został już zrehabilitowany, bo to przecie wszyscy tacy są dzisiaj, „czeskimi patriotami" i cieszą się przywilejami! Takie są zakulisowe tajemnice statystyk niejakiego posła czeskiego Pawlika, które ten „wygłosił" ostatnio w parlamencie praskim! I to jest tylko jeden z licznych sposobów, jak „poczeszczyć" Zaolzie.

Pytam swych rozmówców w Jabłonkowie o pracę społeczną.

Odpowiedź znowu nieoczekiwana. Nie mamy przecież żadnych swoich związków polskich, ani jeden związek czy stowarzyszenie polskie nie zostało przez Czechów dotąd zatwierdzone. Zilustrujmy przynajmniej to na kilku przykładach. Mieliśmy swoją „Macierz Szkolną", która została założona na Śląsku Cieszyńskim jeszcze w czasach austriackich. Zakładali ją Sienkiewicz, Ossuchowski i inni. Była ta „Macierz Szkolna" w pierwszej republice. Dziś jej działalność Czesi zawiesili, bo poseł Uhlirz wniósł w parlamencie praskim interpelację przeciwko polskiej „Macierzy". Pan Uhlirz, któż to taki? Dawny nauczyciel czeski, szowinista, który już w pierwszej republice „szczuł" zawsze przeciwko polskiemu szkolnictwu na Zaolziu. Dziś po powrocie z Londynu p. Uhlirz robi to z pełnym impetem, a ponieważ jest dysponentem rozkazów w czeskim ministerstwie oświaty w Pradze, łatwo zrozumieć co ten pan dla dobra polskiego szkolnictwa na Zaolziu robi. Ostatnio ten sam pan poseł i dzisiaj już także za antypolską pracę książkową doktór filozofii — wydał nakaz natychmiastowego zamknięcia wszystkich polskich ochronek na Zaolziu. Tak prezentuje się działalność antypolska czeskiego faszysty Fr. Uhlirza, posła parlamentarnego i autora ostatnio wydanej w Mor. Ostrawie książki p. t. „Nasze Ślezsko" (Nasz Śląsk), która jest dobrym przyczynkiem do burzenia przyjaznych stosunków polsko-czeskich. Czeska administracja na Zaolziu, dopingowana przez Uhlirza urządza sobie pogromy nauczycieli polskich. Ponieważ np. w gminie Koszarzyskach prawie wszystkie dzieci zapisała ludność do szkoły polskiej, postanowili temu Czesi przeciwdziałać. W czasie lekcji wchodzi do szkoły żandarmeria czeska i

z końca XIX w.

i oburzenia, w końcu ryknąwszy głośno „siadaj ośle" i sam także sapnąwszy, usiadł. — W jaki sposób ks. Dziekan dziękował później ks. Skwarczyńskiemu za budującą godzinkę religii, nie dowiedziałem się, za to ks. Skwarczyński pamiętał mi moją wsypę dobrze, to też przy egzaminie otrzymałem wobec jego stanowiska — stopień tylko dostateczny. Za to egzamin z klasy czwartej wypadł już lepiej — bowiem stopień otrzymałem znowu bardzo dobry a i nagrodę pilności w postaci grubej książki, do nauki dopełniającej otrzymałem.

Ale ks. proboszcz miał widocznie do mnie — mimo wszystko — jakąś słabość, bo niedługo wziął mnie do kościoła za swego ministranta. Usługiwałem sam codziennie księdzu do Mszy Św., za co dostawałem 20 halerzy tygodniowo, a niskie wynagrodzenie nagrodziłem sobie popijaniem wina na plebanii, którego mi młoda gospodyni, gdym z ampułkami po niego przyszedł, nie żałowała. — Ale przy tym służeniu do Mszy Św. spotkała mnie druga wsypa.

Oto zjeżdża na wizytację Grabskiej parafii sam ksiądz Biskup krakowski i kardynał Puzyna. Było parady co niemiara. Specjalnie wystrojona banderia krakusów eskortowała ks. Biskupa z ostatniej parafii do naszej, a ks. Proboszcz wysłał gospodynię w góry po pstrągi, które ks. Biskup bardzo lubił.

Po przyjeździe miał ks. Kardynał do parafian wzruszającą przemowę, w której przestrzegał przed wierzeniem różnym wilkom w owczej skórze, co ludowi chcą wydrzeć wiarę i posłuszeństwo dla władzy, a zachęcał natomiast do przestawania na małym, cierpliwości i wiary w dobroć Bożą, które są najważniejszymi cnotami ewangelicznymi.

Była to aż za jasna aluzja do działalności ks. Stojałowskiego i Jego „Gazetek", znajdujących sobie coraz większy mir u ludu, a którego ks. Kardynał — jak wiadomo — nienawidził.

Nazajutrz odprawił ks. Kardynał uroczystą Mszę Św., do której miałem zaszczyt Mu posłużyć, co się jednak skończyło dla mnie dużym wstydem.

Kiedy bowiem w pewnej chwili, klęcząc na stopniach ołtarza i całując z należną czcią pierścień rybaka na Jego ręku nachyliłem się z ciężką srebrną tacą i takimże kubkiem, ażeby mu podać przy słowach „Lavabo" trochę wody na palce, nagle ręka mi zadrgała, osłabła, i taca wraz z kubkiem i wodą potoczyła się ku stopom ks. Biskupa. Stworzyła się z tej mojej niezręczności przykra sytuacja dla wszystkich. Dla ks. Biskupa, bo mu oblałem szaty, dla lokaja, bo musiał ścierać dywan, i dla mnie, bo i mnie przytym wstyd ogarnął. A wszystkiemu winien był lokaj, który mnie przedtem nie uświadomił o wielkiej wadze tacy i kubka, i nie przestrzegł przed możliwością upuszczenia. Po odjeździe ks. Biskupa, co było w lecie, nadeszła zima i ks. Proboszcz zapragnął po Bożem Narodzeniu chodzić po parafii po kolędzie, ażeby i parafian w ten sposób lepiej w ich domach poznać, i co grosiwa uzbierać.

Oczywiście, że jako „stary" ministrant, byłem upoważniony do asystowania księdzu w tak ważnej misji. Zaszczytu tego dostąpili przede mną: organista, grabarz i młodszy odemnie ministrant. Cały miesiąc trwała ta włóczęga i wyżerka po bogatszych gospodarzach, gdzie sobie nieraz i ks. Proboszcz, a nade wszystko organista z grabarzem, mocno głowę zaprószyli, mnie jednak urzekła z tych czasów najbardziej wizyta u Macieja Szarka (1826—1904) w Brzegach, znanego, cenionego i pierwszego w tych czasach poety i pisarza ludowego.

Mieszkał Szarek — jak wszyscy, w małej, słomą krytej chałupinie, sprzęty w izbie były także nielepsze ni ładniejsze, niż u innych chłopów, ale zwracała uwagę odrazu w izbie stojąca duża polit urowana szafa, której po otworzeniu nam jej przez gospodarza, sam ksiądz nie mógł się nadziwić, — była bowiem zapełniona samymi książkami, niekiedy pięknie w skóre oprawionymi, a gazet, broszur i różnych szpargałów tyle w niej sterczało, żeby ani za tydzień wszystkiego nie zdołał oglądnąć! Sam Szarek był już wtedy blisko 80-letnim starcem. Był wysoki, szczupły, nosił się zawsze w sukmanie, a zdobiły go ładne bokobrody. Pisywał po różnych pismach, wierszyki i opowiadania prozą, a był także dobrym mówcą wiecowym. Ponieważ widział, że łakomie patrzę na jego książki, podarował mi jedną „o Waligórze, Kruszyskale i Wyrwidębie". Później, gdym go odwiedził, sprezentował mi jeszcze „Tajemniczą wyspę" Vernego, ale gdym go dalej chciał wykorzystywać, odmówił mi dalszej darowizny, — mówiąc, że jemu też książki darmo nie przychodzą, żem zresztą powinien zabierać się do nauki i takie co uczą czytać książki, a nie same opowiadania, które dobre są dla starszych, a nie dla dzieci.

A może i miał rację, stary ludowy poeta Szarek?

Uzbierałem sobie, chodząc z księdzem po kolędzie, trochę grosiwa i zacząłem się poważnie zastanawiać nad dalszym moim losem — tymbardziej, że i szkołę ludową ukończyłem i uczyć się już dalej nie mogłem. Mógłbym się oczywiście dalej uczyć w pobliskich Niepołomicach, Wieliczce, lub nawet w Krakowie, ale kto mnie na naukę pośle? Kto za mnie ją zapłaci? A rodzice nie rozumieli, co to jest dla dziecka nauka wyższa i jeżeliby się zgodzili, to może najwyżej na pójście do terminu na szewca, krawca, stolarza czy innego mistrza, ale nie do szkoły, zwłaszcza gdyby płacić za naukę należało. Tymczasem jednak zakazali mi marzyć o nauce czy nawet o terminowaniu, bo chcieli, żebym coś dla nich zarabiał i dlatego kazali mi chodzić „na pańskie" i do rznięcia pręcia do prusaków, którzy, wydzierżawiwszy nadwiślańskie tereny pod uprawę wikliny, wycinali ją i wysyłali wagonami do Niemiec.

Nędzne to były zarobki po 50 i 60 halerzy dziennie i robotnik przy podobnej pracy więcej zdarł butów i ubrania niż zarabiał, ale ponieważ był ogólny brak pracy, wszędzie ludzie chodzili do takiej pracy z kromką suchego chleba i jajkiem lub łyżką powideł na cały dzień. Rychło spostrzegłem, że to nie jest żaden zarobek, ale ordynarny wyzysk robotnika przez niemieckiego i niestety polskiego pracodawcę, ale na razie rady nijakiej nie było.

Ażeby jednak nie pracować za darmo, zacząłem namawiać rodziców, żeby mnie dali jednak do terminu, to im ulżę w strawie, bo pójdę z domu i utrzymywał mnie będzie majster. I to się trochę rodzicom spodobało, bo w domu była — jak zresztą z małymi wyjątkami w całej wiosce — bieda. Najgorsza była zima i przednówek. Gdy brakło zboża, piekło się chleb, gotowało kluski i piekło placki z jęczmieniem i ziemniakami, których było więcej i były tanie. Czasem ziemniaki niedość przed mrozami zabezpieczone przemarzły, stawały się słodkawe, co rodziców martwiło a mnie cieszyło, bo sobie mogłem bodaj słodkiego ziemniaka zjeść, gdyż się cukier w domu rzadko, czasem tylko w niedzielę, znajdował na stole.

Kiepskie, proste, nawpół jałowe jedzenie było następstwem pierwotnej, nieudolnej gospodarki i małej zapobiegliwości chłopów. Gospodarowano po staremu z ojca na syna, to też zamiast drzew owocowych rosły koło domu wierzby, najwyżej dzikie grusze, w polu perz i inne chwasty przygłuszały zboże, a źle żywione, nigdy nie czyszczone bydło dawało mleka zwyczajnie tylko na domowe potrzeby i o sprzedaży nie było co myśleć.

Domy były drewniane, niskie, kryte słomą, po części bez kominów i bez podłóg, o małych okienkach i pojedyńczych, na skutek czego w takiej izbie był stale półmrok, a w większe mrozy marzła woda. Jeżeli chałupa była kurna, t. zn. bez komina, które jeszcze pamiętam, ludzie żyli w niej jak potępieńcy. Dym z pieca wychodzący na izbę smolił ściany i wszystkie graty w niej się znajdujące, przenikał wszędzie, a przede wszystkim atakował oczy mieszkańców, którzy w takiej chwili chodzili po izbie z pochylonymi głowami, ze łzami spływającymi im po policzkach.

Jak w takich warunkach mogli ludzie wtedy żyć i pracować — było dla mnie zawsze zagadką.

Wnętrza domu urządzane były nader prymitywnie. Łóżko, stół, ławki koło ściany, skrzynia jaskrawo pomalowana, żerdź na ubranie, parę bohomazów papierowych imitujących świętych, oto całe umeblowanie mieszkania. Osobnym „meblem" był wielki piec chlebowy z wystającą nalepą, na której pod tzw. trójnogiemi „dynorkami" warzyło się strawę dmuchając co chwilę, żeby ogień nie wygasł, gdyż dym nie ciągnął do góry, tylko się kręcił koło garnków. Domy z kominami i kuchenkami zaczęto stawiać gdzieś w końcu 19-go wieku, ale i ta nowość przechodziła pewne fazy. Najpierw nieśmiało zaczęto pleść komin z pręcia oblepiając go gliną. Gdy jednak stał się niepraktyczny z powodu łatwego zapalania się, zaczęto budować kominy z cegły, ulepszając je co jakiś czas.

W domu moich rodziców był zegar ścienny z kukułką, kanarek w klatce, który — jak nam się przynajmniej zdawało — śpiewał razem z ojcem ranne godzinki. W innych domach tę samą rolę co zegar na ścianie spełniały zegary słoneczne na progu domostwa. Najgorzej było we wsi z czystością. Chociaż Wisła przepływała obok, kąpała się w niej tylko młodzież, bo starzy prawie nigdy się nie kąpali. Zamiast do ustępów, które zaczęto stawiać na rozkaz władz w latach 1890 — 95 — chodzili ludzie z naturalną potrzebą za ścianę, do stajni, i gdzie popadło. Ponieważ w dodatku w domach nie było podłóg tylko tak jak w stodole ubite klepiska, a przytem często stało w izbie cielątko lub prosiątko, smród i zaduch panował w takich domach nie do opisania, a wślad zatem gnieździły się choroby. Tyfus plamisty, ospa, febra, kołtun u kobiet, zabierały zawsze dużo ofiar. Umierała przeważnie połowa urodzonych dzieci. Przyczyniały się do tego brak higieny i najprostszych środków do utrzymania czystości jak ręcznik, miednica, mydło i t.d. Choroby grasowały, a doktora nikt nie wzywał. Leczyli chorego ziołami, puszczaniem krwi, odczynianiem uroków nad chorymi i to było całe leczenie. Uniwersalnym lekarstwem był także psi smalec którym smarowano lub dawano pić choremu.

(c.d.n.)

Maciej Czuła

---

aresztuje tamtejszego nauczyciela polskiego Żuczka. Działo się to prawie w czasie mego pobytu w Jabłonkowie. Na drugi dzień dowiedziałam się o podobnym wypadku, jaki wydarzył się w tym samym czasie w gminie Kojkowice. Tam znowu polskiemu nauczycielowi Gojniczkowi odebrano t. zw. „świadectwo lojalności" i zakazano mu uczyć w szkolę. I to tak dzień w dzień. I na wszystkich odcinkach życia! Chce młodzież polska odegrać sztukę w tej czy innej miejscowości, to najpierw się jej powie, że równocześnie musi odegrać i czeską sztukę, ale potem przedstawienie się zakaże! Chce zaimprowizowany chór nauczycieli polskich urządzić wieczór pieśni polskich, też się tego zakaże. Zacznie wybitny działacz socjalistyczny Sembol we Frysztacie organizować b. więźniów z czasów okupacji niemieckiej, to po pewnym czasie pod lada pretekstem zamknie się go w więzieniu i przytrzyma tam kilka miesięcy bo byłoby źle, aby świat się dowiedział, że przecie na tym Zaolziu żyją Polacy. Tak ci Polacy żyją... lecz są pozbawieni praw, zastosowano do nich dzisiaj metody knuta, dyktatury i najpotworniejszego faszyzmu. A to obciąża konto słowiańskiego narodu czeskiego, chyba nie bez wiedzy oficjalnych czynników w Pradze?

A co na to partie polityczne?

Najpierw odpowiedzią jest machnięcie ręką, potem szpetne słowo, na koniec zaś taka lapidarna odpowiedź:

— Na Zaolziu nie ma polskich partyj politycznych... zakazane. Wszystkie partie są tutaj czeskie, nawet partia komunistyczna ma w naszym okręgu „nasadzone" kierownictwo, składające się w 1-ym procencie tylko z takich działaczy, którzy byli znani kiedyś jako nieprzejednani szowiniści, chcący za każdą cenę wynarodowić polskiego robotnika. W dodatku na terenie Zaolzia do tej partii „przemyciło" się wielu dawnych niekomunistów czeskich, tylko dlatego, aby mogli pod płaszczykiem partii komunistycznej prowadzić „pionierską" robotę niszczenia, gdzie się da i jak się da żywiołu polskiego. Wychodzi na Zaolziu i polskie pismo, ale drukowane są tam artykuły, które najczęściej piszą szowiniści czescy w Mor. Ostrawie, często nawet urzędnicy czeskiej policji. Polskie prawo do zarobku na Zaolziu jest prawie nijakie... krzywda, pomiatanie i gorycz! Urzędowanie... tylko w języku czeskim (w pierwszej republice dopuszczony był język polski), napisy także już tylko czeskie. Ba, posunięto się już do tego, że napisy na szkołach polskich muszą być czeskie, nawet oznaczenie klasy szkolnej wypisane musi być dla polskiej dziatwy po czesku! Czy który z narodów słowiańskich popadł aż w taką megalomanię jak Czesi na Zaolziu? Czesi na Zaolziu? Byłoby na czasie, aby w parlamencie czeskim odezwał się raz bezstronny głos i podał statystykę tego żywiołu czeskiego, który jest autochtonicznym, albo który nim był w roku 1919 lub 1938! Wtedy dowiedziałby się szeroki świat innej i właściwej prawdy o uciemiężanych przez przybyłych i zadomowianych tam Czechów: ludzie polskim na Zaolziu.

Po powrocie do Pragi znowu na najżywszych ulicach pięknego miasta wita mnie... problem śląski! Wszędzie biją w oczy porozlepiane kolorowe afisze. Lampka górnicza na tle hut i kopalni i alarmujący napis. W Pradze rozpoczął się „Śląski tydzień", pełnych siedem dni propagandy (od dnia 17 marca do 24 marca b. r.) za przyłączeniem do republiki — prócz Zaolzia, — jeszcze okręgu Głupczyńskiego, Kładzkiego Raciborskiego itd. W „Reprezentacyjnym Domie" w Pradze otwarto nawet wystawę, pełno na niej swoiście spreparowanej historii w wydaniu Uhlirzów i Pawlików, pełno diagramów, wykresów, „informacyj" o literaturze śląskiej (czytaj: praczeskiej!), o sztuce. Chodzę i oglądam to wszystko. I widzę te kłamstwa i widzę ten furor propagandy i widzę brata Czecha, jak nocą podchodzi pod dom Polski i woła: wydrę, za wszelką cenę zdobędę! W każdy dzień „śląskiego tygodnia" odbywają się odczyty, prelekcje, trąbienie o czeskości ziem śląskich! Inaugurację zaś tego antypolskiego i wyłącznie antypolskiego spektaklu rozpoczął wicepremier rządu czeskiego Jożka Dawid i mówił, że do Czech musi wrócić i Kłodzko i Racibórz i Koźle i jeszcze coś i jeszcze coś.

A my w Polsce się łudzimy, pokpiwamy sobie z tego wszystkiego, czasem współczujemy, czekając, że przecie ten młodszy brat słowiański Czech zmądrzeje i zaprzestanie posługiwać się tymi metodami, którymi posługiwał się wobec Czechów Henlein i Frank. A tymczasem Czesi robią swoje, codziennie, systematycznie od małego człowieka do wielkiego ministra. Siadam pod wieczór zmęczona w domu na Winohradach, przecinam książkę wydaną w tych dniach przez praskie wydawnictwo „Wyszehrad". Autor nieznany dotąd: Leopold Perzich. Tytuł książki „Slezsko" (Śląsk). Czytam: jeszcze jedno dzieło o Śląsku, znowu dziełko tendencyjne, co za teorie, aby tylko udowodnić czeskość ziem śląskich. Tak... a pod koniec książki trzy rozdziały, każdy w innym języku... w angielskim, rosyjskim i francuskim. Każdy z tych rozdziałów jest zatytułowany jedną nazwą: résumé. Treść każdej tej résumé ta sama — słowem: ziemie śląskie są ziemiami czeskimi! I to się wysyła zagranicę, a my w Polsce nie umiemy nawet wydać białej księgi Zaolzia dla poinformowania zagranicy o strasznym dramacie, odgrywającym się w tamtych stronach. Jeśli w roku 1942 w Izbie Gmin oświadczył minister Anthony Eden, że Zaolzie nie jest sprawą monachijską i że sprawa ta musi być uregulowana tylko między narodem czeskim i polskim, to Czesi bardzo szybko o tym zapomnieli, przygotowując dziś już całkiem jawnie wytoczenie sprawy międzynarodowej Polsce w sprawie Dolnego Śląska! Nie łudźmy się, że będzie inaczej!

ORĘDZIE PIOTRA BEZRUCZA

Jest dziś 20 marca 1946, przeglądam dzisiejsze dzienniki czeskie. Wystarczy wziąć do rąk choćby tylko berneńskie „Svobodne nowiny" organ praskiego hradu. Tak, jest tutaj „orędzie" Piotra Bezrucza, o którym wprawdzie swego czasu wybitny czeski poeta Jarosław Seifert napisał: „Bezruczu, Bezruczu, ty stary błaźnie"! — ale który w dzisiejszej republice, cieszy się ogromnym szacunkiem. Oto, co piszą „Svobodne nowiny":

„Poeta Piotr Bezrucz na inaugurację „śląskiego tygodnia" w Pradze przesłał pozdrowienie, gdzie pisze: Mam już 88 lat. Myślicie, że się pomyliłem. Toż to nic, Mikołaj Alesz (czeski malarz — przyp. autorki) — powiedział w 60 roku życia: podczas tych wszystkich uroczystości mnie poświęcanych postarzałem się o lat dziesięć, (i zmarł w rok później). Ze mną jest tak samo. Patrzę się na życie już tak przez płot jak widz postronny. Chciałbym jeszcze przed swym odejściem oglądać restaurację śląskiej samodzielności, zagubionej w pierwszej republice a radbym widział także pomyślne ustalenie granic na północy... Z przyczyn gospodarczych potrzebne jest nam Koźle jako port dla węglowego rewiru wałbrzychskiego. A żądając wschodniego Śląska nie chcemy rzeczy niesprawiedliwych. W czasie plebiscytu byłby cały powiat Bielsko głosował w 90% za nami. Dwadzieścia lat w tym powiecie rządzili Polacy, ale odnoszę wrażenie, że jeszcze dzisiaj moglibyśmy się tam pokusić o plebiscyt. Toż się na mnie nie gniewajcie, że się będę na „śląski tydzień" patrzał zdaleka, życzę wam powodzenia najlepszego".

Tyle pan Bezrucz, nadworny poeta republiki czeskosłowackiej, wróg słowiańskiej Polski, domagający się plebiscytu w powiecie bielskim i żądający portu w Koźlu i Wałbrzycha dla Czechosłowacji.

Aby zadokumentować antysłowiańskie stanowisko Bezrucza, z inicjatywy czeskich czynników miarodajnych wyjdzie niemieckie tłumaczenie antypolskich „Śląskich pieśni" tegoż autora w najbliższym czasie w Wiedniu. Zaś Niemiec z Czechosłowacji, literat Weiskopf, wydał w tych dniach antologię czeskiej poezji w języku angielskim pt.: „Hundred Towers" w New Yorku w wydawnictwie L. B. Fischera.

W antologii tej zamieszczono najbardziej polakożercze wiersze Petra Bezrucza. Bo przecież... w Ameryce muszą wiedzieć, kto to są Polacy, którzy nam nie chcą oddać Bielska, Żywca i Krakowa!

Zaś dramat zaolziański, niespostrzeżony przez obcych, niewidziany przez swoich, zdąża z każdym dniem do nieznanego finału!

Janina Sobotniczowa

Dyskusja „Wieś — miasto — regionalizm" (III) *)

STEFAN STODOLNY

Starodawne formy samopomocy chłopskiej

Znajdźmy się na wsi w czasie pożaru w którejś z zagród i zanalizujmy spostrzeżenia. Widzimy jak przy krwawej łunie pożaru uwija się wszystko, co żyje we wsi. Młodzi i starzy, kobiety i mężczyźni, nawet i dzieci... Sąsiedzi wzięli już pod swoją opiekę chudobę poszkodowanego, ryczące bydło lokuje się pod dachem sąsiada, inny zabiera wieprza, inny konie, dzieciom nakazuje chwytanie drobiu, który rozpłoszony błąka się wśród ludzi i rozwalonych płotów. Później zajeżdża najczęściej prymitywna sikawka, przy której kompletuje się straż pożarna, narzędzie ratunku jest wnet w ruchu. Poszkodowany odrazu znajduje miejsce dla rodziny u sąsiadów, odrazu też mieszkańcy wsi składają mu zapomogę w postaci zboża, siana, słomy, bez próśb specjalnych ze strony poszkodowanego, ze skrupulatnością w niczym nieprzypominającą zbieranie np. kontyngentu. Tak trzeba, tak musi być i tak bywało od stuleci.

Są okolice, w których do dziś jeszcze trwa zwyczaj odbudowywania pogorzelców. które wyposaża ich nieraz sowiciej niż dom rodzinny... Tak trzeba.

Są także miejscowości, gdzie zawsze budującemu się wszyscy właściciele koni zwożą materiał na budowę bez zapłaty i to zwykle w jednym lub kilku dniach, gromadnie, z jakąś godnością, z jakimś obrzędowym ceremoniałem.

Gromadzą się wszyscy w pewnym miejscu oczekując na najstarszego, ten zaś po przybyciu na miejsce liczy zebranych, potem daje znak do odjazdu...

Sam zainteresowany jest jednym z wielu nie mających nic do gadania, słuchającym jak wszyscy przodownika, a jedynie po pracy może dać upust swej wdzięczności i zadzwonić w szklanice, tak jak dawniej za ojców bywało. Każdy kto jemu pomógł, wie, że i jemu pomogą wszyscy w razie potrzeby.

Wszystkie te akty pomocy są wyrazem wrodzonego poczucia obowiązku. czymś, czego nie przelicza się ani na złotówki ani na dolary, a co ma wiele większą wartość od tej gotowizny. Obyczaj to stary i ginący ku wielkiej szkodzie wsi.

Im wieś ma więcej przybyszów z różnych okolic, tym mniej w niej pozostałości ze starodawnych pożytecznych obyczajów. Gorzej jest jeszcze, gdy we wsi są ludzie z miasta, albo tacy, którzy dłuższy czas przebywali w mieście, nasiąkli trochę kulturą miejską. Przybysz z miasta traktować zaczyna wszystkich przez „pan" i sam dla siebie tego żąda od wszystkich. Żeniąc lub wydając za mąż któreś ze swoich dzieci przysyła pisemne zaproszenie, które urazi poważnych gospodarzy, No bo i cóż to? „Powiestka" na sąd, czy wezwanie do płacenia asekuracji, czy też dowód sąsiedzkiej gościnności? Więc jeśli to gościnność — to czy taka ona ma być? Zamiast wziąć błogosławieństwo starszego człowieka na swoje młode lata żywym słowem, słowem przywitać sąsiada lub też trochę pogwarzyć? Są wsi, w których prastary obyczaj wyginął, nowy zaś: to małpowanie miasta, czy podmieścia, coś w rodzaju takiego „ni to pies ni to wydra"... A jednak i wśród takich wsi począł się już przed wojną wytwarzać jakiś pociąg do obcej miastu samopomocy.

Objawem tego były spotykane tu i ówdzie „spółki asekuracyjne od wypadków bydła". Opierały się one teoretycznie na jakichś pisanych statutach, ale życie wypisało inne statuty a właściwie wytworzyło pewien zwyczaj. „M.T.R." przed wojną wysłało w teren delegację w celu zapoznania się na miejscu z działaniem tych spółek... I nie znalazło żadnej z nich... Dopiero jeden z członków tej delegacji, znający okolicznych chłopów, poprosił kogoś zaufanego ze wsi, gdzie taka spółka istniała, ażeby ten zawiadomił go o wypadku padnięcia którejś ze sztuk. Po zawiadomieniu przyjechał i zastał spółkę przy oprawianiu bydlęcia...

W spółce wytworzył się zwyczaj rozkupywania mięsa z padniętej sztuki „do ostatniego kila", bez względu na to czy się ono nadaje do użytku czy też nie. To było powodem dla którego spółka kryła się ze swoją działalnością. Drugim powodem, może i ważniejszym tej konspiracji bydła była obawa przed urzędami... Znany jest bowiem fakt, że co tylko złapie w swe tryby machina biurokratyczna, to wychodzi z niej zniekształcone, zmiętoszone i niepodobne do siebie. Spółki jednak, o których mowa, były zaczątkiem „Samopomocy Chłopskiej" na wiele lat przed oficjalnem zawiązaniem ZSCh. Spółki ograniczały swą działalność do terenu jednej wsi. miały bardzo małe możliwości, bardzo skromne zasoby i niewiadomo co by zrobiły np. w razie masowego pomoru bydła. Tu już potrzeba ingerencji gminnego a nawet powiatowego związku. Normujące się stosunki w państwie pozwalają przypuszczać, że kiedyś dojdzie do przejęcia asekuracji ognia w ręce samopomocy chłopskiej. Potem będzie ona mieć całkiem inne sposoby i formy tegoż działania.

Dziś, gdy ZSCh ma swoje koła w każdej prawie wsi, uważać trzeba, aby ta oficjalna samopomoc, nie poszła urzędniczą papierową drogą, a odwieczną drogą samopomocy chłopskiej.

Trzeba ożywić starodawny obyczaj, wprząc nowe formy, a rzeczywistość wiejska tak różna od miejskiej wyglądać będzie inaczej. Spodziewam się, że wkrótce zamiast sprawozdań oznajmiających sucho: w sprawie tego a tego protokół odczytano itd. czytać będziemy sprawozdania z prawdziwej działalności kół ZSCh np.: „Koło nasze pomogło jednemu z nas wybudować dom, za co on każdemu z nas również pomoże. Inny z nas, któremu padło bydło ma już inne na miejsce tamtego, a młyn w którym robił jest już nasz" itd.

Takie sprawozdanie oznajmi, że Samopomoc Chłopska naprawdę poczyna działać.

*) Patrz: P. S. Ziarnik: „Czy regionalizm" („Wieś" nr. 10/38), M. Jóźwiak: „Miasto", („Wieś" nr 13/41).

STANISŁAW MERKISZ

Nie dawna—a nowa samopomoc

ODRUCHY SERCA?

Artykuł Stodolnego powtarza mniej więcej to samo co zawierał w tej sprawie referat Ignacego Solarza, wygłoszony na łowickiej konferencji oświatowej w r. 1930.

Pierwsza rzecz, którą sugerują tak Solarz jak Stodolny w zakresie dawnych form samopomocy chłopskiej to przekonanie, że są one „wyrazem **wrodzonego** poczucia obowiązku" (Stodolny), że w przeciwieństwie do dzisiejszych komitetów ratunkowych „broniono dawniej pospołu **samorzutnie**" (Solarz). To co było, płynęło od serca, ukazywało „prawdziwą naturę" chłopa, w której górującym był odruch filantropijny, instynkt serdeczności, ofiarności i miłości człowieka do człowieka.

Tak dochodzimy do pojęcia „człowieka". Do jego wzoru idealnego w koncepcji odnowicieli kultury ludowej. Wzór ten zawiera jako główne i jedyne — wartości moralne oraz warunek, że będą one wyrażone bezpośrednio, elementarnie, bez żadnego ujęcia w przepisy, nakazy, systemy organizacyjne — dobrowolność, wrodzoność, samorzutność oto ich urok a zarazem urok dawnej samopomocy chłopskiej.

„To są różnice między kulturą serca, a kulturą rozumu" — jak powie Solarz. Kiedy po 15 latach odzywają się te same poglądy i to w obliczu nowopowstałego Związku Samopomocy Chłopskiej, trzeba rozpatrzyć je z większą uwagą i powagą.

Dawność w oczach Solarza i Stodolnego to jakieś wyzwolenie ze sztywnych i krępujących instynkty i odruchy przepisów i instytucji, będących wytworem rozumu, na rzecz odsłonienia się w pełnej swobodzie dobrowolnego gestu dobrej natury człowieka.

Sięgnijmy do przykładu przytoczonego przez Solarza i Stodolnego. Dla nich oczywiście udział w gaszeniu pożaru na cudzym gospodarstwie to sprawa **pomocy**, w której się wyraża przede wszystkim **wrodzony odruch serca.** Jest albo go nie ma!

Kiedyś **był**, dziś zanika, bo coraz rzadziej chłopi udzielają pomocy pogorzelcom i coraz skąpiej; kiedyś nawet nowożeńców odbudowywano, stawała cała wieś, sznury furmanek, robota zbiorowa, podzielona, kierowana. Oto objawy „samorzutnych" i „wrodzonych" odruchów!

A nam się wydaje, że mamy tu do czynienia przede wszystkim z objawami bardzo określonych wzorów i nakazów społecznych, jakie w historii gromad wiejskich narosły wokół ich centralnego zagadnienia: **zbiorowego bezpieczeństwa wsi.** Pożar to jedno z najgroźniejszych i najstarszych nieszczęść całej gromady a nie tylko pojedyńczego gospodarza. Dlatego od wieków wytworzono zbiorowe rygorystycznie przestrzegane normy postępowania i doskonalono zbiorowo technikę walki z ogniem.

Warto przypomnieć, że jedną z jej postaci (w pożarze od pioruna) było zażegnywanie ogzorcyzmami - pochodem wokół domu z dzwonkiem loretańskim; metoda stosowana jeszcze, jak w Galicji, pod koniec XIX w.

SYSTEMY BYŁY ZAWSZE

Formy i metody postępowania na każdy podobny wypadek, który w granicach gromady stawał się zawsze wydarzeniem społecznym, nie prywatnym — były znane i ustalone do szczegółów.

Kto miał las — dawał drzewo, kto len i prządł nadto — odzienie. Zwózkę — ci, co mieli konie, w ilości, którą bez zapisów w wyrachowaniu praktycznym każdy miał naprzód obliczoną. Dlatego „nie proszeni ani wzywani" szli, czy okazać pomoc (filantropijna serdeczność?) to pytanie — ale na pewno szli spełnić ustalony obowiązek społeczny, który te ciężary przewidywał rozłożone na wszystkich i dlatego i Solarz i Stodolny wymieniają sznury wozów i wieloosobową robotę pod kierownictwem.

To tylko tak się wydaje, że kiedy będzieby się cofać w przeszłość, napotkamy coraz wyraźniej na „wrodzone odruchy", na zachowania „naturalne" i „samorzutne" Złudzenie to rozwiał Br. Malinowski, światowej sławy socjolog i etnolog, wykazując na przykładzie życia społeczeństw t.zw. pierwotnych, że tylko przez porównanie ze współczesnymi narodami np. europejskimi można mówić o „dzikości" i „naturalności" tamtych, naprawdę jednak napotykamy zawsze na zorganizowane systemy kultury, uboższe i niższe — ale **systemy.**

I dawna samopomoc chłopska była również systemem społecznym a nie sumą naturalnych odruchów jednostkowych. Trudno powiedzieć ile w tych akcjach manifestowało się wrodzonej dobroci. Z całą pewnością natomiast można mówić o wielkiej wówczas zależności jednostki od społecznej struktury gromady i jej niepisanych wzorów postępowania.

Solarz podaje przykład na „ludzki" dawniej stosunek wzajemny pomiędzy bogatymi a biednymi chłopami — oto 20-morgowy przyszedł prosić „uniżenie" 6-morgowego na wesele córki. I ten przykład dowodzi czego innego. Po dziś dzień jeszcze sprasza się na wesele całą wieś. Dlaczego? Bo małżeństwo jest sprawą społeczną. Musi uzyskać zgodę wsi. Uczestnictwo całej gromady to znak zatwierdzenia związku. Tak to za każdym razem trafimy na system, któremu jednostka się podporządkowuje i to przede wszystkim daje się zaobserwować, a nie wrodzone odruchy, które kiedyś pono były serdeczne a dziś je jakoby wyniszczają „rozumowo - materialistyczne" systemy.

Systemy były zawsze — to chcemy wyraźnie przypomnieć.

SAMOPOMOC WYBRANYCH

Jakże przedstawiał się system samopomocy chłopskiej, który Solarz i Stodolny wspominają jako **stan naturalnej dobroci** dawnych chłopów.

Otóż (wracając do początkowego przykładu) pogorzelcem korzystającym ze społecznych świadczeń, był tylko gospodarz. Poza tą kategorią pozostawał komornik i folwarczny. W niewyraźnej sytuacji był małorolny i rzemieślnik. Świadczenia wzajemne obejmowały zatem ciaśniejszy krąg posiadających. Aby dać na pogorzelca, trzeba było mieć. Biedny nie dał, bo nie miał. Na biednego z kolei nie dali bogaci bo w tym prototypie Zakładu Wzajemnych Ubezpieczeń nie zostałaby spełniona zasada wzajemnych wyrównań. To rozumowanie nabierze pełnej wymowy, kiedy sobie uprzytomnimy, że już w latach 50-tych XIX w. w Kongresówce i Galicji połowa chłopstwa to bezrolni i małorolni.

Wyposażenie nowożeńców przez wieś, zbiorowa pomoc przy budowie — kogo ten obyczaj obejmował? Biednych, czy raczej bogatych? Kto komu tu świadczył? Oglądamy ewolucję wcześniejszych obowiązków rodzinnych. Przekształciły się one w obowiązki towarzyskie — towarzystwa wiejskiego, które wyselekcjonowało się z biegiem czasu z bogatych. Bo tylko tych stać było na hojne upominki grzecznościowe, ci mieli „rezerwę" i w następstwie „gest", który zresztą nie przepadał, wyrównując się kiedyś materialnie od swoich a doraźnie dawał satysfakcję na „honorze". Ów zaś honor ważny znów był w kole swoich podczas kiedy od zewnątrz wzmacniała go właśnie istniejąca i pogłębiająca się nierówność gospodarcza na wsi. Dobre obyczaje wzajemnych świadczeń w tej górnej klasie chłopskiej służyły tak wyniesieniu się społecznemu w opinii uboższej wsi, jak fanaberie i obdarowywania **wzajemne** szlachty wobec innych warstw społecznych. 20-morgowiec w przykładzie Solarza kłania się 6-morgowemu z okazji wesela córki, ale za kogo ją wydaje? Za małorolnego, za rzemieślnika? Nie! Wskazywać na wyjątkowe i rzadkie objawy samopomocy to rzeczywiście znaczy wskazywać na filantropijne odruchy serca. Ale to nie są przywileje dawnej tylko wsi ani w ogóle wsi. Natomiast umieć zobaczyć w dawnej wsi brak organizacji społecznej, która by miała siłę wpłynąć na zniwelowanie różnic społecznych i gospodarczych — to znaczy wskazać na nieistnienie w przeszłości powszechnej i dostatecznie doniosłej ze względu na już istniejące potrzeby — samopomocy chłopskiej.

NIE WRACAĆ, IŚĆ NAPRZÓD!

I Solarz i Stodolny wyrażają pragnienie powrotu i rozkwitu dawnych form samopomocy chłopskiej, choć obaj przyznają, że wskazują często na ostatnie pojedyńcze ich ślady.

Chcieliby je wrócić, bo widzą w nich serce, „nieskażoną naturę", „wrodzoną dobroć", a które dziś według nich zagłusza rozum, strychulec organizacyjny, urzędnicza formalistyka. Człowiek z miasta — jak powiada Stodolny — burzy stary ład, przyczynia się na wsi do zaniku dawnych bezpośrednich społecznych odruchów.

Cóżby oznaczało wznowienie dawnych form samopomocy chłopskiej? Tworzyła ona specyficzny system. Ważnym jest, gdzie się ten system kończył, dokąd nie sięgał? Otóż w pamiętniku chociażby Macieja Czuły wyczytać można, że dziecko zdolne a pragnące się wyżej kształcić, jak np. w wypadku Czuły — w szkole koszykarskiej aby potem w gminie nadwiślańskiej rozwinąć korzystne materialnie dla chłopów kursy koszykarskie — nie znajdujemy pomocy ani jednostkowej ani zbiorowej.

Chałupy na ten czas są w większości kurne z maleńkimi okienkami z bydłem w środku, dzieci w Galicji mrze do końca XIX w. co rocznie połowa. Czy pogorzelcowi odbudowują wówczas lepszy dom? Zgodnie z próbami nowatorów, którzy stawiają kuchnię i poszerzają okna? Na pewno, nie!

Czy samopomoc zmierza np. do wspólnego zakupu nawozów albo do upowszechnienia ulepszeń naturalnych, nawozów? Gdzie tam! Kuraś i Magryś są ośmieszani

(ciąg dalszy na str. 8-ej)

JAN RYBKOWSKI

Zagłada miasta Drezna (III)

(fragment pamiętnika — dokończenie)

Granicą pola bombardowanego miała być prawdopodobnie rzeka, nad którą tkwiliśmy w tej chwili, skrajne żyrandole płonęły pionowo nad naszymi głowami, wiatr znosił je jednak coraz dalej na wschód i my coraz głębiej przesuwaliśmy się do środka oznaczanego pola, które leżało przed nami i obejmowało cały zachodni brzeg rzeki.

W świetle rakiet ujrzałem pomost z grubych bali, położony tuż nad samą wodą. Jednym skokiem znaleźliśmy się przy nim. Miejsce było już zajęte, leżało tam kilku Niemców, ale nie dając za wygraną, pchaliśmy się bez pardonu. Janka ściskała w ręku obrazek święty i co chwila powtarzała: „Święty Tadeuszu, ratuj nas!" (jest to podobno specjalista od beznadziejnych wypadków). Niemcy sykali na nią „Ruhe, ruhe!" (cicho, cicho!), jak gdyby mieli obawy, że usłyszą ją lecący w górze lotnicy. Cała ta nasza akcja trwała sekundy, a wypadki zaczęły toczyć się teraz w błyskawicznym tempie.

Jednocześnie z żyrandolami niebo pokryło się rojem maleńkich gwiazdek, które rosły w wielkie magnezjowe słońca, wszystko wokół oświetliło ostre, biało-żółte, kłujące oczy światło. Grzmot w górze narastał, zbliżały się eskadry bombowców. Przenikający do szpiku kości gwizd rozdarł powietrze, ziemia jęknęła od eksplozji pierwszej serii.

Wojna techniczna, wojna maszyn, groza, strach, okropność — to wszystko są puste słowa, nie dające najmniejszego obrazu tego co przeżywa człowiek podczas takiego bombardowania.

Jedyna myśl, która wibrowała we mnie wówczas, jedno słowo, które dziś ciśnie mi się na usta, a może określić choć w przybliżeniu wyjątkowe to przeżycie, jest — katastrofa kosmiczna.

Rzeczywistość, czas, wymiar, przestrzeń, przestają istnieć. To, co masz pod sobą, w co wpijasz się jak robak, przestało być czymś stałym, ziemią. Jest wibrującą masą, którą trzymasz kurczowo, ażeby nie rozpłynęła się pod tobą. Nieba nad tobą nie ma, tysiące gwiazd-słońc, wyrywanych z swych orbit, spada ci na głowę. Nie ma nic stałego. Czarna czeluść wypełniona wirującą materią.

Nie ma minut, godzin lat. Są tylko okresy szczytowego natężenia, gdzie wszystko rwie się, pęka i rozpada. Każda chwila może być twoją ostatnią i zdaje ci się — ostatnią całego wszechświata, którego cząstką się czujesz.

Nie ma bólu, strachu, żadnych ludzkich uczuć i słabostek. Jest rozedrgana od siły materia i ożywiająca ją świadomość, ta najprymitywniejsza — ta, co była na początku. Chwila ciszy — odprężenie, nie ma nic, nie ma absolutnie nic... I znów siły zgęszczają się, materia drga i wibruje, a myśl oplata ją, świadomość ją przenika — i bez przerwy trwa ten proces stawania się i unicestwiania. Długie półtora ziemskiej godziny — wieczność kosmiczną.

Świadomość, pozbawiona wszelkich uczuć pracuje z niesłychaną precyzją, wiem, że widzę, słyszę, czuję. Obrazy montują się w mózgu z niesłychaną szybkością i przechodzą pozbawione jakiegokolwiek komentarza uczuciowego, zmieniają się, jak obrazy w kinie.

Wiatr wieje w stronę rzeki, całe masy rakiet oświetlających spływają w naszym kierunku, spadają wokół na łąkę, palą się jeszcze przez chwilę, z daleka czuję ich żar. Niektóre z głośnym sykiem gasną w wodzie rzeki poza mną.

Na chwilę zapada mrok. Większość świateł zgasa i zdaje się samoloty nie huczą już tak głośno, może wreszcie koniec — złudzenie. Za chwilę płoną nowe sygnały, nowe słońca, i lecą nowe bomby.

Bombardowanie odbywa się tak zwanym systemem kobiercowym. Większa ilość samolotów jednocześnie zrzuca cały swój ładunek, a gdzieś na dole w mieście, gdzie spadną bomby, rozściela się dywan kraterów i ruin.

Cały obszar bombardowany widoczny jest spod mego pomostu. Oświetlone białym, martwym światłem, które padając ze wszystkich stron, nie rzuca cienia, wypełnione tumanami żółto-rudego dymu i kurzu, w którym bezustannie błyskają czerwone światła eksplozji — stoi miasto. Nawet w chwilach, gdy samoloty przelecą, gdy już nie rzucają bomb, eksplozje nie ustają — rwą się rozsadzane pożarami niewypały, bomby czasowe, a przede wszystkim własne zapasy materiałów wybuchowych i paliwa. Nieprzyjaciel nie przestaje, bez ustanku, fala za falą nadchodzą wciąż nowe eskadry, nowe gwizdy, nowe trzęsienia ziemi.

Przyszedł wreszcie dywanik, który i nas przykrył jednym swym rożkiem.

Tym razem bomby nie gwizdały. Przelatując tuż nad głową, wydawały stękająco-mlaskający dźwięk. Przylgnęliśmy wszyscy jak najmocniej do ziemi. Nagle pustka. Ubranie nie przylega do ciała, od zewnątrz uczucie pęcznienia, króciutką cząstkę sekundy zdaje się że człowiek unosi się w powietrze— nagle spada na ciało miażdżący ciężar, jakgdyby wypuszczony z prądnicy strażackiej strumień wody o wysokim ciśnieniu, wszystko na tobie trzepoce się i rwie. Krótki, ostry trzask szarpie wszystkimi nerwami i cisza. Żyjesz. Dzwoni tylko przeraźliwie w uszach i szumi w głowie.

Miał rację mój nauczyciel fizyki, że postawił mi kiedyś dwóję. Powietrze ma swój ciężar i to nawet nie lichy.

Otępiałym, nieczułym czekało się na koniec nalotu, na koniec życia, na koniec świata, wszystko jedno już na co, tylko żeby się już raz wreszcie skończyło.

Kiedy spłynęły w dół i zgasły ostatnie światła, kiedy ucichł szum samolotów, trudno było uwierzyć, że się żyje i że nalot wreszcie się skończył.

Nie, nie wierzyłem, zerwałem się, ażeby odejść jak najdalej i jak najszybciej od przeklętego miejsca. Piętnaście kroków od naszego schronienia był pierwszy krater, dalej widać ich było całe szeregi na łąkach i w ogrodach.

Mieliśmy szczęście, że cały ten piękny dywan rozerwał się w miękkim podłożu i przygniótł nas tylko ciśnieniem powietrza, i to mocno osłabionym nierównością terenu i kryjówką z ciężkich bali. W mieście w takich warunkach spadałyby nam na głowę całe kamienice. Minąwszy pola kraterów szliśmy szybko dalej. Janka uważała, że święty Tadeusz jest niezawodny i to on właśnie uratował nam życie. Ja chciałem zapalić papierosa i stwierdziłem z rozpaczą, że zostawiłem całą stugramową paczkę tytoniu w mieszkaniu na stole. Wrócić się po nią niestety nie miałem żadnej ochoty.

Szliśmy ciągle dalej, minąwszy przedmieście „Laubegasse", gdzie miałem się zatrzymać. Było nawet nie zniszczone. Wolałem być jednak jaknajdalej od zabudowanego gęsto terenu.

Zaczął padać deszcz wielkimi błotnistymi kroplami, miotany silnymi podmuchami wiatru siekał po twarzy.

Iść dalej nie było sensu. Zatrzymaliśmy się w małej budzie przewoźnika.

Od miasta nadchodziło coraz więcej ludzi, szukających dachu nad głową. Wszyscy byli obdarci, brudni i zmęczeni. Nikt nie miał siły nawet mówić. Drzemiąc na ławkach czekaliśmy rana.

O świcie postanowiłem wrócić do miasta.

Na dworze panował jeszcze półmrok, padał deszcz — niebo od horyzontu do horyzontu dzieliła potężna chmura czarnego dymu biorąca początek w niewidocznym stąd mieście, a ginąca za nami w kierunku Sudetów. Na przedmieściu „Laubegasse" odszukałem swych kolegów.

Spali jeszcze.

Okazało się, że wczoraj podczas nalotu obaj byli w mieście. Przeżyli tam pierwszy nalot, a drugi spotkał ich w drodze powrotnej, bardzo blisko miejsca, w którym i my znajdowaliśmy się o tej porze.

Porównując swe spostrzeżenia mogliśmy już sobie stworzyć pełny obraz wczorajszych przeżyć. Sytuacja wszędzie była mniej więcej podobna. Pierwszy nalot przyszedł całkowicie nieoczekiwanie i zaskoczył większość ludzi w domach i na ulicach. Przy pierwszym nalocie zapalono całe śródmieście, bombardowano tylko określone cele z niskiego lotu.

Jeden z kolegów był nad rzeką między mostami i widział, jak szybkie, dwumotorowe bombowce nadlatywały całkiem nisko nad cel i dopiero rzucały swój ładunek.

Drugi z nich był w prywatnym domu i już podczas bombardowania zbiegł do piwnicy, a dom trafiony bombą zasypał się. Połowa piwnicy została zawalona, na szczęście przez małe okienko żyjący jeszcze mogli wydostać się nazewnątrz.

Wszyscy mieliśmy zupełnie dosyć już Drezna i Niemiec. Po krótkiej naradzie postanowili wracać do domu, do Czech, a my zdecydowaliśmy się iść razem z nimi.

Trzeba było zobaczyć, co dzieje się w śródmieściu. Ciekawy byłem, czy żyją moi koledzy i czy stoi dom, w którym mieszkałem.

Janka nie chciała rezygnować z rzeczy które zostały w miejscu, gdzie pracowała i twierdziła stanowczo, że nie mogły się spalić, miała silną wiarę w świętego Tadeusza. Przygotowaliśmy się do drogi, koledzy spakowali się, zabraliśmy trochę żywności. Janka poszła spać, a my mężczyźni wyruszyliśmy do miasta.

Godzina była piąta rano. Jeden z kolegów pojechał okrężną drogą na rowerze, my dwaj mieliśmy iść wzdłuż rzeki.

Po drodze mijały nas gromadki ludzi, uciekających z miasta, byli posmoleni, brudni, w podartych ubraniach, rzadko kto miał jakiś tłomoczek czy walizkę, najczęściej byli nawet bez palt mimo zimowego miesiąca. Spotkaliśmy znajomych Czechów. Odradzali nam stanowczo pójście do miasta, mówili: „Tam jest jedno piekło, szczęśliwi jesteśmy, że jest już poza nami". Szli do domu, do Czech, nam radzili tak samo.

Dotarliśmy do Loschwitzkiego mostu, przy którym zastał nas wczorajszy drugi alarm. Chmura dymu była już tak gęsta, że panował półmrok, tam, gdzie wczoraj powylatywały tylko szyby, dziś nie stał już żaden dom. Wiatr niosący kłęby dymu, iskry i odór spalenizny, wiał prosto w twarz. Posuwanie się nadal wzdłuż rzeki było niemożliwe. Postanowiliśmy objeść miasto od strony „Grossen Garten" (wielkiego ogrodu), ogród ten był szerokim pasem zieleni, który sięgał prawie do środka miasta. Po dłuższym kluczeniu bocznymi uliczkami doszliśmy tam.

Jeden z najpiękniejszych ogrodów Drezna, miejsce wywczasów i spacerów, — dziś przedstawiał makabryczny widok. Po pierwszym nalocie uciekając z palącego się miasta, tysiące ludzi szukało tu schronienia. Bomby drugiego nalotu biły w ogród ten najgęściej. Powyrywane, rozszarpane drzewa, całe przestrzenie przeorane potwornym pługiem i plon śmierci — dziesiątki, setki rozszarpanych, zmasakrowanych ludzi. Na sterczących kikutach konarów zwisają połcie ludzkiego mięsa, na powalonych drzewach między gałęziami wieją na wietrze strzępy sukien i trzewia. Miejscami spotyka się całe gromady ludzi przykucniętych gdzieś pod krzakami, objętych wspólnym uściskiem ramion, cichych, martwych.

Między ludźmi porozrzucane trupy egzotycznych zwierząt, w pierwszej chwili nie mogłem pojąć, skąd się tu wzięły, dopiero później uświadomiłem sobie, że tu zaraz w tym samym parku był wielki ogród zoologiczny. Teraz antylopy, żyrafy, wielbłądy, egzotyczne barwne ptaki leżą tu razem z tymi, którzy je kiedyś oglądali i podziwiali w jednej bezkształtnej, zmieszanej masie mięsa.

Jatka ciągnie się na przestrzeni całego ogrodu. Robi się słabo od mdłego zapachu krwi i spalonego mięsa.

Wszystko pokrywa rudy półmrok. Promienie słońca nie przedostają się przez grubą pokrywę dymu, ciągle wieje wiatr, jak z rozpalonego pieca.

Staram się przedostać dalej. Dzielnica, w której był dom mojego majstra. Tu spadły kobierce, na miejscu ulic rozciągają się obszerne dymiące, zasypane gruzem place.

Tam gdzie nie trafiły bomby burzące, płonie wszystko. Przejść ulicami jest niemożliwe. Posuwam się tyłami domów, gdzie były puste place i ogródki. Wszędzie, w każdym zaułku pełno trupów, większość z nich jest zupełnie naga, zaskoczeni we śnie, rozebrani przez ciśnienie powietrza. Leżą teraz z rozłożonymi ramionami, szklane oczy patrzą na gruzy, zgliszcza. Niektórym płomienie przylepiając się lepkim fosforem poodgryzały ręce i nogi, niektórzy zupełnie zwęgleni przypominają tylko kształtem postacie ludzkie.

Leżą dużymi grupami, po kilka osób, całe rodziny, matki z dziećmi, starcy.

Wszędzie wala się ogromna masa rzeczy, walizy popakowane na wypadek alarmu, rozbite podczas upadku wysypują ze swych wnętrz całe masy cennych przedmiotów, jest jednak tak źle, że nawet nikt nie kradnie. Kto żyje jeszcze, przemyka się ostrożnie między gruzami, ogniem, kraterami bomb, patrząc bojaźliwie na wszystkie strony, gotowy w każdym momencie przylgnąć do ziemi. Wieczne niebezpieczeństwo od bomb czasowych i niewypałów. W każdej chwili może rozerwać się taki pocisk pod nogami. Nie miałem więcej czego tu szukać. Przez park wracać nie chciałem. Postanowiłem wydostać się znów nad rzekę, a idąc z powrotem i mając wiatr w plecy, łatwiej będę mógł wydostać się z miasta. Do rzeki musiałem dostać się przez labirynt wypalonych prawie doszczętnie ulic. Droga moja prowadziła około dużego więzienia na Mathildenstrasse. Mury jego i niektóre pawilony rozdarte zostały bombami burzącymi, reszta wypalona i paląca się jeszcze. Co stało się z więźniami? Wszystkie więzienia w Dreznie były przecież przepełnione. Później w drodze rozmawiałem z jeńcem, który uciekł stamtąd. Opowiadał, że strażnicy zamknęli ich, a sami uciekli, zaraz przy pierwszych bombach zapaliły się niektóre pawilony, w innych poprzenikały do niższych pięter i tam wybuchły pożary, tak że więźniowie na górze i na dole słyszeli wycie tych, co smażyli się żywcem. Przy działaniu bomb burzących rozpadły się w niektórych celach drzwi, dopiero ci, co wyszli stamtąd, wyłamywali drzwi do innych cel i oswabadzali swych towarzyszy. Tak wyłamując się, przechodząc przez płonące piętra, po płonących klatkach schodowych, mała ich część zdołała wydostać się nazewnątrz, a później zmieszani z tłumem innych uciekinierów, którzy nie wyglądali wcale lepiej od nich, tak samo brudni, posmoleni i bardzo często też bez żadnych dokumentów, szli dalej.

Nielicznym tym szczęśliwcom piekielna noc przyniosła swobodę, a niejednego uratowała od stryczka.

Nad rzeką sytuacja nie była lepsza niż w mieście czy ogrodzie, tu też uciekali zewsząd ludzie, ażeby uchronić się przed uduszeniem, a podczas drugiego nalotu spadły tu miny powietrzne.

Ranni żołnierze, których wczoraj mijałem, siedzieli tu i dzisiaj. Z ust ich wyciekały małe strumyczki krwi, mieli rozerwane płuca. Nie mogłem i nie chciałem patrzeć więcej na te wszystkie okropności i jak najprędzej wracałem za miasto. Czym dalej od centrum, tym mrok stawał się rzadszy, słońce od czasu do czasu przebijało grubą powłokę dymu. Z tyłu w mieście dudnił wciąż pożar.

Coraz więcej ludzi czarnych, osmolonych, z błędnymi oczyma, cicho, nie mówiąc nic ze sobą, szło aby dalej, jak najdalej od miasta. Cały niemiecki rygor, porządek i herarchia w dniu tym przestały istnieć. Nikt nie krzyczał, nie rozkazywał, nie organizował. Na wszystkie strony świata, gwiaździście od miasta płynęły tumy uciekinierów.

Niemcy, cudzieziemcy, nędza, wczoraj jeszcze bogacze, wojskowi, elegancko ubrani oficerowie SS, ranni okryci w chałaty szpitalne, lub koce, policja, dozorcy więzienni i zbiegli więźniowie — wszystko to szło ramię przy ramieniu, nikt nie zwracał na nikogo uwagi, każdy jak najdalej od miasta.

Po kilku godzinach wędrówki poprzez kręgi tego piekła, które przewyższało o całe piekło bujną fantazję Dantego, dostałem się znów na Laubegasse. Nie mówiliśmy do siebie już nic, wszystko było jasne, jak najprędzej iść, gdzie oczy poniosą. Około dwunastej mieliśmy wyruszyć w drogę, gdyż znów zadudniły motory samolotów. Tym razem nie podano alarmu, nie było elektryczności i nie było żadnej łączności telefonicznej. W pierwszej chwili myśleliśmy, że niemieccy lotnicy chcą obejrzeć płonące Drezno. Gospodyni domu wpadła z przeraźliwym krzykiem, że znów bombardują. Jednocześnie od strony miasta doleciał odgłos potężnej eksplozji. Pognaliśmy nad rzekę, aby na jej brzegu szukać schronienia. Poprzez dym nie widać samolotów, słychać tylko grzmot motorów, gwizd bomb i eksplozje. I tak znów przez całą godzinę. I tym razem mieliśmy szczęście. Bombardowano inne dzielnice miasta. Obłok dymu zgęszcza się od nowych pożarów. Gdy tylko ucichły samoloty, wracamy do domu, aby wziąć kilka paczek, majątek moich kolegów i idziemy na południe do Czech. Gdy byliśmy oddaleni 20 klm. od Drezna, był nowy alarm. W nocy w Königstein 40 klm. od Drezna — znów alarm.

Dnia 15 lutego przekraczaliśmy starą granicę czechosłowacką, wówczas jeszcze granicę Sudetów i Saksonii. Czesi czuli się jednak już u siebie w domu. Nad nami unosiła się jeszcze ciągle potężna smuga dymu, a pola i drogi pokryte były niedopalonymi papierami. Podniosłem jedną z tych kartek — formularz policyjny dla robotników cudzoziemskich z aktów prezydium policji w Dreźnie. Było to ostatnie pozdrowienie z Drezna i z Niemiec.

Na granicy fantazji i historii

Tragiczne zmagania zachodnich słowian z naporem germańskim nie znajdują należytego odzwierciedlenia w naszej literaturze nietylko pięknej, ale nawet historycznej. Dziwna cisza panowała na tej rubieży, jeśli chodzi o tematykę ziem zachodnich. Ostatni Gall Anonim wygłosił swoją pochwalną pieśń o Krzywoustym i zapanowało żenujące milczenie. Tylko dwie pozycje godne są na ten temat wzmianki. Mamy tu na myśli „Starą Baśń", a przede wszystkim „Królewską pieśń" Kazimierza Glińskiego. W utworze tym nawet oficjalna krytyka dopatrzyła się tylko epigonizmu Pana Tadeusza. Był to osąd krzywdzący, tak jak krzywdząca była nieznajomość tego utworu. Dziś najwyższy czas zaktulizować tę książkę i postawić ją na równi z „Krzyżakami", jeśli chodzi o zagadnienie naszych zmagań z Niemcami.

Ostatnie stadium owej walki: kolonizacja i germanizacja znalazły niejaki oddźwięk u Zachariasiewicza, Sienkiewicza, Prusa i Rodziewiczówny, jeśli brać pod uwagę książki stanowiące pewne pozycje w naszym dorobku piśmienniczym.

Uwagi powyższe koniecznie wypada zanotować, kiedy się czyta wydaną świeżo przez firmę poznańską Władysława Grabskiego książkę*), która i tytułem swoim i treścia przenosi nas w zamierzchłe czasy wikingów i początki państwa polskiego.

Jak widać z zapowiedzi autora zamierza on stworzyć (czy stworzył) trylogię, która ma objąć swoją treścią okres kilku lat panowania Bolesława Chrobrego przed rokiem 1000, rokiem, tak upiornie wiszącym nad duchowym i fizycznym życiem średniowiecza, kiedy to wierzono, że wówczas nastąpi koniec świata.

Saga o jarlu Broniszu Władysława Grabskiego jest powieścią. W zakresie wartości formalnych nie wnosi nic nowego do naszego piśmiennictwa. Natomiast temat jej — Polska na morzu w początkach swojej państwowości i stosunki z państwami północy, sąsiedzkie współżycie z wikingami — jest tematem wybitnie rewelacyjnym. Akcja toczy się spokojnym, płynnym nurtem narracji, autor wyraźnie unika balastu scenizowania wypadków, w całej dość długiej fabule ogranicza się do kilku zaledwie scen wyraźnie narysowanych. Są to momenty przez autora celowo obrane i stanowiące jak gdyby filary wspierające całą rozległą budowę powieści. Nad zjawiskiem, które popularnie zwie się klimatem książki, ciąży zdecydowanie indywidualność autora, jego wrodzone tendencje pisarskie, których dominującą cecha jest spokój o wyraźnych skłonnościach epickich.

Treścią tej powieści jest fragment dziejów rycerza polskiego, Bronisza, którego autor nazywa wikingowskim określeniem — jarlem: jego urzędowe kontakty z panującymi w państwach skandynawsko - wikingowskich oraz perypetie miłosne z córką jarla norweskiego Jarlanda. Ówże jarl Bronisz należy do drużyny najbliższych, knezia jeszcze wówczas polańskiego, Bolesława. Jarl Bronisz ma powierzone swej pieczy sprawy specjalne. Na dzisiejszy język przkładając możnaby go nazwać ministrem spraw morskich.

Wprowadza nas ta powieść w wir spraw ówczesnych: sojuszów, mariaży, dziedziczenia, sukcesji, polityki kościelnej, intryg dynastyczno - podbojowych, świata chrześcijańskiego i pogańskiego. Nad wszystkim jednak góruje wyraźnie i zdecydowanie — co trzeba podkreślić specjalnie — żywioł morza. Ono stanowi łączący element międzynarodowego życia, w zbiegu tegoczesnych spraw politycznych, militarnych i kulturalnych jest czynnikiem przeważającym, a najmniej dopełniającym. Autor tak grupuje fakty i przedstawia przebieg poszczególnych elementów akcji, że ten problem jest dominujący.

Centralnym punktem terenu, przez który się przewija większość zdarzeń powieści, jest ujście Odry, gdzie leżały głośne naówczas osiedla: Szczecin, Wołyń, Jomsborg. One stanowiły punkty wypadowe i wlotowe ówczesnego, w powieści przedstawionego życia. Nawet stolice Bolkowego kneźstwa nad Wartą: Poznań i Gniezno (nie mówiąc o Krakowie) są jakby na marginesie powieściowych zdarzeń i tych miejsc. Kontakt z nimi jest luźny i sporadyczny i stąd znajdują się raczej w cieniu.

Najciekawszym z wymienionych grodów jest bezsprzecznie Jomsborg. W nim żyje na służbie knezia bezżenne bractwo wojów wikingowskich przypominających swoja organizacją sicz zaporoską kozaków z XVI i XVII stulecia. Żywiołem ich jest walka i łupież. autorytetem wszelka jednostka opromieniona sławą. Kochają walkę, morze, wyprawy. Oni to jako element skupiony w jednym miejscu (a więc łatwy do dysponowania), ruchliwy i awanturniczy ułatwiają cały szereg przedsięwzięć mających na celu wygranie dogodnych sytuacji w polityce bałtyckiej.

Powieść Władysława Grabskiego przedstawia ten okres w dziejach narodu polskiego, kiedy stosunkowo niedawno przeszedł on cały szereg wstrząsów, przeobrażeń i zmian. Takie akty jak chrzest przed kilkudziesięciu laty, takie jak przejście z organizacji rodowej zdecentralizowanej na książęcą scentralizowaną — były to procesy i zdarzenia zbyt głębokie, ażeby przeszły bez długosiężnych reakcji. W powieści szerzej potraktowano tylko problemy religijne nadając im specyficzny ton. Przeciwstawienie ówczesnych dwóch światów, chrześcijańskiego i pogańskiego, granica między nimi w życiu codziennym, nie jest zarysowana bardzo ostro. Stosunkowo najsilniej występuje to w państwach skandynawskich, gdzie oba te światy żyja obok siebie dość zgodnie. Chrześcijaństwo nie jest zbyt drapieżne, pogaństwo — nie uparte.

Jest moment w powieści, gdzie autor oscyluje bardzo blisko zagadnienia, któremu tak drastyczny wyraz dał pisarz węgierski Franciszek Herczeg w swojej powieści pt. „Poganie". Peter Reinber, główny przedstawiciel świata chrześcijańskiego w Szwecji po kilkunastu latach szerzenia nowej wiary znalazł się w momencie obliczenia swoich wyników pracy na rozdrożu. Mówi: „...normanowie wciąż, niby ptaki na wyraju duchem włóczęgi mamieni, rozglądają się po dalekościach, węsza wiatry zamorskie, a nie cenia, jak trzeba, wartości gniazd rodzinnych". Jest bliski dania za wygraną, ale jak bohater Herczega asymiluje się z poganami, pater Grabskiego opuszcza ostatecznie stanowisko zajmowane i przenosi się do Słowian, gdzie spodziewa się lepszych wyników swojej pracy, niż między wikingami. Jego filozofia życiowa ugruntowana na praktycznych doświadczeniach jest bardzo charakterystyczna. „Miłościa sama poganina nawrócić nie można. Pierwej go miłości nauczyć. By zrozumiał, że miłość jest potęgą, a nie słabościa — mówi świątobliwy pater Reinber — do tego trzeba być silnym po ludzku. Gdy poganina chwycę za gardło, zburzę mu posąg bożka, zdanemu na moją łaskę daruję życie i dam możność szczęśliwego bytu, wtedy zrozumie...". Dziwną, jakby nam nieco znajomą barwę maja te słowa bogobojnego duszpasterza. Tej postaci przeciwstawiony jest św. Wojciech, uosobienie łagodności, tolerancji, spokoju, słodyczy i poświęcenia.

O ile więc zagadnieniom religijnym autor poświęca więcej miejsca i są rozpracowane szerzej, o tyle nad sprawą zmiany struktury polityczno - społecznej Grabski prześlizgnał się w jednym zdaniu dosłownie. Co prawda ta sama sprawa stanowi główny temat „Starej baśni" Kraszewskiego, niemniej jednak potraktowana jest bardzo znamiennie. Przedstawicielem władzy książęcej jest małowartościowy Chwostek. Kraszewski uprościł sobie zagadnienie o tyle, że zwalczaną przez stronników starego porządku zasadę rządów absolutnych knezia uosobnił w niesympatycznym Chwostku. U Grabskiego, zdaje się, jakby weszły tu w kolizję dwa czynniki — uczony i twórca. Wiadomość faktu przez uczonego domagała się uzewnętrznienia jej, smak i plan pisarza, świadomość równowagi elementów oddanych do dyspozycji, cel i zakres w posługiwaniu się środkami ograniczył to do minimum. W rezultacie autor uporał się z tym zagadnieniem w jednym afirmatywnym zdaniu.

Książka ta jest bardzo na czasie. Na kompletnym bezrybiu beletrystycznym na temat problemów zachodnich stanowi pozycję literacką, która boruje drogę do innych opracowań i publikacji na ten tak wielce żywotny dziś temat.

Pozostałaby do omówienia jeszcze sprawa osób historycznych, tego co możnaby nazwać wmontowaniem rzeczywistości dziejowej w strukturę powieści. Należą do nich — że wymienimy tylko najznamienitszych — kneź Bolko Chrobry, święty Wojciech i Świętosława, siostra knezia a królowa Szwecji. Zdaje się nam, że osoby te, mimo wyraźnych starań autora urealnienia ich wypadły prawie portretowo, a Świętosława-Sigryda, najbardziej z nich ludzka przez cały ciąg powieści przy końcu całkiem okazała się sobowtórem Balladyny.

Motyw urealnienia postaci świętego nie jest nowy. Z taką pracowitością potraktowała go Zofia Kossak-Szczucka w powieści krzyżowcowej „Bez oręża". Jej święty Franciszek nie wypadł przekonywująco i doprowadził do pewnej przesady, waha się między niepoczytalnym naiwnickim a cuda czyniącym obertańcem. Święty Wojciech Grabskiego jest nieco blady, sztywny i schematyczny, mimo że pisarz zabiega nad użyciowieniem go przez zmianę scen i ścisłość w opisie. To samo dotyczy knezia Bolesława. Autor daje go na koniu i w kąpieli, przez rubaszne okoliczności stara się mu dać cechy życia, jednak Chrobry jego został cokolwiek Chrobrym z pomnika i matejkowskiego obrazu.

Bardzo być może, że stanowi to celowy wysiłek. Musimy pamiętać, że jest to saga świadomie przez autora budowana, stąd schematyzm w kreśleniu postaci może być zasadą naczelną i jedyną. Ale w takim razie znów sceny realistyczne stanowiły by antynomię i dyssonans.

Na zakończenie należałoby zadać sobie pytanie, o ile książka ta jest sagą? Na wstępie tych uwag wspomniane było, że zasada znaczeniowa sagi klasycznej została złamana, że może ona kryć właściwe sobie wartości i pod tym kątem musi być oceniana jako indywidualne dzieło autora pod nazwą bądź co bądź konwencjonalną. Łącząc w sobie pierwiastek fantazji z pierwiastkiem historycznym powieść Władysława Grabskiego stoi na granicy sagi i powieści i aczkolwiek nie posiada całkowitej koturnowości sagi, ma z niej ów olbrzymi świat zdarzeń wikingów, którzy życiem swym sagi te tworzyli, a o który zahaczała w dawnych czasach nasza młoda państwowość wychodząca na Bałtyk wiążący je z normandzkimi ludami skandynawskiej północy.

T. G.

*) Władysław Jan Grabski — SAGA O JARLU BRONISZU — I Zrękowiny w Uppsali, stron 344, nakładem Drukarni Św. Wojciecha pod Zarządem Państwowym w Poznaniu.

Nie dawna—a nowa samopomoc

(dokończenie ze str. 6-ej)

w swoich próbach. A przecież ważniejszą chyba nad gest serca w granicach tradycyjnych wzorów społecznych, które nie chroniły od nędzy, od przeraźliwie niskiej stopy życiowej, ciemnoty, nieopłacalności rolnictwa, od chorób, epidemii i masowych zgonów dzieci — ważniejszą byłaby samopomoc rzeczowa, nie wyrównująca tylko jednostkowy uszczerbek ale podnosząca materialnie i kulturalnie całą gromadę.

Ale tamta starodawna samopomoc wyraża się właśnie w przeciwstawianiu zbiorowemu postępowi.

Jeszcze raz możemy przekonać się, że była systemem społecznym wsi sprzed stuleci, o utrwalonym i zamkniętym obiegu. Naprawiała tylko takie straty jakie mieściły się w dawnych obyczajach. Miała dlatego charakter konserwatorski i konserwatywny.

I choć Solarz i Stodolny tyle widzą w niej serca, i „wrodzonego poczucia obowiązku" trzeba powiedzieć, że jej wydajność i użyteczność była zastraszająco mała.

To był niewątpliwie system **filantropijny** (jakby się dziś rzekło). Pomoc w wypad**kach**, przy zupełnej bezradności wobec **powszechnego złego** stanu gospodarczego i kulturalnego wsi.

W wypadkach widać serce jak na dłoni, w zbiorowym postępie serca bezpośrednio nie widać, ale czy to znaczy, że go nie ma, czy też, że trzeba go grubo więcej, ale już nie w postaci naturalnej — odruchów i sąsiedzkiej tylko serdeczności. Trzeba go koniecznie w towarzystwie rozumu — wyższego **społecznie rozumu**. W nowym systemie społecznym, który by umiał ocenić korzyść szkoły koszykarskiej na Powiślu i zdobyć się na inwestycję kształcenia nauczyciela, który by budował nowe wyższe pod względem techniki i higieny domy, który by umiał wszelkimi drogami wzmóc opłacalność rolnictwa.

Tamta samopomoc była defenzywna, łatała dziury w przestarzałym systemie, wówczas kiedy już trzeba było samopomocy ofenzywnej, budującej system nowy, dającej całej wsi wielkie korzyści, w granicach których pojedyńcza strata jest głupstwem, z jakim da sobie radę sam poszkodowany, wspomożony nie dorywczą darowizną, ale zyskami z ogólnego dochodu wsi, z jej powszechnego postępu.

Stanisław Merkisz

BIBLIOTEKA ODDZIAŁU WIEJSKIEGO ZWIĄZKU ZAW. LITERATÓW POLSKICH

Jak podaliśmy, w najbliższych dniach ukażą się na półkach księgarskich w ramach „Biblioteki Oddziału Wiejskiego Związku Zaw. Literatów Polskich" tomy poezji Pawła Kubisza i Józefa A. Frasika.

Czytelnicy, organizacje kulturalne i młodzieżowe mogą nabywać powyższe książki bezpośrednio, wpłacając na konto PKO Oddziału Wiejskiego Związku Zawodowego Literatów Polskich — VII — 4440 — odpowiednie sumy z zaznaczeniem, którą książkę i ile jej egzemplarzy zamawiają.

Nabywającym bezpośrednio przysługuje 30 procent zniżki od ceny katalogowej. Cena katalogowa tomu „Przednówek" Pawła Kubisza wynosi zł. 90.—, cena tomu „Urodzony w źdźble" J. A. Frasika zł. 100.— Ceny następnych publikacji Biblioteki Oddziału Wiejskiego Związku Zawodowego Literatów Polskich: „Dom rodzinny" St. Piętaka i „Almanach literatury chłopskiej", które ukażą się w kilka tygodni później, podamy w jednym z najbliższych numerów „Wsi".

Głosy pisarzy

List do Redakcji

Otrzymaliśmy ostatnio list od Jakuba Wojciechowskiego, autora książek „Życiorys własny robotnika" i „Wczoraj i dziś". Wojciechowski, „odkryty" i wprowadzony do literatury przez Boya-Żeleńskiego, jest reprezentantem bardzo interesującej socjologicznie i kulturalnie grupy pracowników fizycznych, a mianowicie tych robotników rolnych, którzy z takich czy innych powodów przechodzą w środowisko miejskie jako robotnicy przemysłowi. Już to samo — nie wspominając o literackiej ważkości książek Wojciechowskiego— czyni go dla nas pisarzem nader ważnym i interesującym.

Szanowni drodzy koledzy!

Z wielka radościa przyiałem wasz list który mnie bardzo ucieszył.

Przepraszam, że sie cośkolwiek spóźniłem z odpisem, ale już w tem nie moja wina.

Udzielam sie społecznie bardzo wiele, jestem delegatem do Rady Narodowej w Barcinie, tak i do Rady Powiatowej w Szubinie i zarazem do Prezydjum. Nie zapominajac o Opiece Społecznej w której także mam zaufanie.

Obecnie pracuje w PPR w Barcinie, podczas okupacji pracowałem we Wapiennie w charakterze maszynisty.

Przy tej sposobności robiłem sobie nie jedne notatki.

Z mojej biblioteki, którą miałem pomiędzy ludźmi schowana niemiecka policja skradła mi 80 tomów, które zostały spalone w gazowni Miejskiej w Barcinie.

Dalsze 250 ksiażek moich udało mi się utrzymać. Z których utworzyłem bibliotekę w kancelarii PPR i wypożyczamy do czytania bez opłaty.

Zapewno nie wszyscy wiecie o tem że nasza stolica robotnicza Łódź wyasygnowała na moja pierwsza ksiażke 6.000 zł. Wobec tego chce swój dług spłacić naszej stolicy robotniczej wytężyć wszelkie moje siły aby z wami pracować. Bardzo prosze o nadesłanie tygodnika społeczno-literackiego aby się z nim zapoznać. Serdeczne pozdrowienie dla współpracowników choć mi osobiście jeszcze nieznanych, i zarazem uścisk dłoni dla wszystkich.

Wojciechowski Jakub
Barcin, ul. Kościelna Nr 32
powiat Szubin Województwo Pomorskie

Nr. 13 (41) „WSI" ZAWIERAŁ:

Jan Aleksander Król — **Co się dzieje na Uniwersytetach Ludowych;** Władysław Milczarek — **Źródełko;** Stefan Lichański — **Miasto — wieś — regionalizm;** Mieczysław Jóźwiak — **Miasto;** Jan Rybkowski — **Zagłada miasta Drezna;** Jan Rosiński — **Nocą;** Jan Madej — **Wszystko, co polskie, musimy wchłonąć;** Zygmunt Stolarski — **Wobec najważniejszej sprawy państwa;** Dyskusja o Szeli, oraz noty i ogłoszenia. 2 ilustracje, 8 stron.

Prenumerata „Wsi" wynosi:

zł 25 miesięcznie; zł 75 kwartalnie; zł 150 półrocznie.

Prenumeratę przyjmują:

W Łodzi:

Redakcja tyg. „Wieś", Łódź, Piorkowska 96, tel. 100-98;
Dział prenumerat „Czytelnika" ul. Piotrkowska 62, tel. 180-74.
Księgarnia „Czytelnika" ul. Piotrkowska 96, tel. 126-04.
Księgarnia „Czytelnika" ul. Piotrkowska 147, tel. 126-65.

poza Łodzią:

Wszystkie agencje pocztowe na kontoPKO Oddz. w Łodzi Nr 815 – Kolportaż „Czytelnika", z zaznaczeniem: na „Wieś"

REDAKTOR NACZELNY: Jan Aleksander Król. — KOMITET REDAKCYJNY Kałużyński Zygmunt, Morton Józef, Ozga-Michalski Józef, Olcha Antoni, Piętak Stanisław.
KOMITET TERENOWY: Frasik Andrzej, Nędza-Kubiniec Stanisław.

REDAKCJA: Łódź, Piotrkowska 96 tel. 1-00-98 Redakcja rękopisów nie zwraca. Wydawca: Wydział Wydawniczy Z. S. Chł. w Spółdz. wydawniczej „Czytelnik".

D—02735 Drukarnia Nr 4, Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik", Łódź, Żwirki 2.